

ROLA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.
W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.
W W. Ks. Poznańskim: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.
W Galicyi: Rocznie złr. 12.—Półrocznie złr. 6.

PISMO TYGODNIOWE, SPÓŁECZNO-LITERACKIE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje. Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.
Ogłoszenia do Roli przyjmują się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.
Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Swiat Nr. 4.

Pod kontrolę!

(Przypiłek do sprawy „gospodarki finansistów warszawskich“.)

I

Jak wszystkie sprawy, jakie, na tem zwłaszcza miejscu, traktujemy w „Roli“, tak i sprawę „gospodarki finansistów warszawskich“ podnieśliśmy nie bez pewnego, praktycznego celu. Omawialiśmy ją w sposób wyczerpujący, przedstawiliśmy w oświetleniu całego szeregu faktów, jakie tylko zebrać nam się udało. byleby czytelnik miał, do pewnego przynajmniej stopnia, jasny i dokładny obraz stosunków, zahaczających o najżywoźniejsze interesa kraju. I zdaje nam się, żeśmy zadanie to, bądź co bądź, osiągnęli. Z kilkudziesięciu rozdziałów owej „gospodarki“, każdy czytelnik uważny i bezstronny łatwo już sobie wysnuje jeden wniosek ogólny. Oto, „gospodarka“ ta nie jest niczem więcej, jeno uorganizowanym, i połączonym z bezwzględną samowolą, wyzyskiem — kliki, która za wszelką cenę stara się o utrzymanie stosunków i potrzeb kredytowych kraju, w swoim... monopolu.

Niemilosierny wyzysk, nieokiełznana niczem arbitralność, despotyzm i, nakoniec, owa chciwość monopolistyczna, oto najwybitniejsze cechy owej „gospodarki“, które poświęciliśmy tyle już, w naszym piśmie, miejsca.

Wiemy bardzo dobrze, że nie jest to żadne nowe odkrycie. Rzeczy te, które obecnie są już znane czytelnikom, działy się w owym warszawskim świecie finansowym oddawna; działy się tam od chwili, w której najnowsi „podskarbiowie narodu“ poczęli, dla jego pomyslności, tworzyć banki i różne inne instytucje finansowe, ogłaszając się zarazem, przy pomocy całej czeready oddanych sobie pismaków, za jedynych zbawców i dobroczyńców kraju. Ale nam szło o to, aby to wszystko, o czem publiczność polska, rozczarowana po kilkunastu latach świadczenia owych dobrodziejstw, mówi między sobą, ujawnione zostało raz nareszcie publicznie, i zrobiliśmy ten dość trudny początek.

Powtarzamy — początek. Drugą i ważniejszą częścią zadania jest przeciwdziałanie złemu — przeciwdziałanie spokojne, legalne i systematyczne, na drodze bodajby najdłuższej, najbardziej mozolnej — ale praktycznej.

Nie przerażaj się, czytelniku, znużony projektomanią różnych naszych dzienników, a zwłaszcza walczących z sobą — Kuryerów! — nie myślimy kreslić przed tobą żadnych wielkich planów, ani, w ogóle, stawiać zamków na lodzie. Nie myślimy „nawoływać“ do zakładania, naprzykład, jakichś na szeroką skalę instytucyj finansowych polskich,

któreby zmogły banki żydowskie — gdyż „nawoływanie“ takie, choć nas do niego zachęcają, jak na teraz przynajmniej, na nicby się nie zdało. Zanadto dziś jesteśmy przez tę samą właśnie gospodarkę wyssani i zbiedzeni, zanadto głęboko ugrzęźliśmy, niestety, w niewoli Izraela i zanadto wiele mieliśmy na to ugrzęźnięcie czasu, aby n a t e r a z można było marzyć o silnej i odrazu skutecznej konkurencyi na polu finansowem — o zbudowaniu tu czegoś tak silnego, coby odrazu gospodarkę finansowo-żydowską zmóźd zdołało.

Ale o czem jesteśmy przekonani głęboko, to że gospodarka ta, rujnująca dziś, jakeśmy to wykazali na faktach, wszystkie niemal warstwy społeczeństwa polskiego, a wzbogacająca jedną tylko kastę — żydówstwu, może i powinna być wziętą w karby pewnej kontroli. Na czem zaś kontrola ta ma polegać, — o tem właśnie chcemy teraz pomówić.

Gdy się patrzy na tę butę i samowolę wzbogaconego żydówstwu, na ten absolutyzm jego banków i innych instytucyj finansowych, wyrosłych na naszym gruncie i ze źródeł produkcyjnych naszego kraju; gdy się patrzy na to ich protegowanie lichwy, z krzywdą pracy uczciwej, pożytecznej, to mimowoli następuje się pytanie, gdzie należy szukać przyczyn tej anomalii — przyczyn, że taka właśnie, a nie inna, choćby nawet żydowska, gospodarka istnieje?

Czy sprawiła to tylko owa, opiewana szeroko, genialność finansowa żydów, obok naszego w tym kierunku, opiewanego również — „niedołęztwa“? Nie zdaje nam się, aby koniecznie tak być miało.

Wskazywaliśmy w swoim czasie i moglibyśmy każdej chwili wskazać instytucje, w których żydów nie było i nie ma nawet na lekarstwo, instytucje prowadzone wyłącznie siłami i zdolnością chrześcian (Towarzystwo Kredytowe ziemskie, Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie i t. d.), a prowadzone przecież i lepiej i porządniej od niejednych pozostających w ręku finansistów — a r o d z o n y c h, „fachowych“.

Wiele, naturalnie, i najróżnorodniejszych przyczyn składało się na to, że dziś plutokracja żydowska i jej agenci, rozrzućeni po wszystkich kątach kraju, są panami kredytu i stosunków finansowych w ogóle; kto wie jednak czyby w takim stopniu tak było, gdyby „podskarbiowie narodu“, i.. ich słudzy dzisiejsi, polackowie zżydziali, nie byli pewni całkowitej bezkarności moralnej, oraz braku wszelkiej kontroli ze strony opinii publicznej.

Aleć, co prawda, u nas nie mogło być inaczej!

Bo któż to ową opinią przedewszystkiem reprezentuje? Naturalnie prasa, a w tej prasie właśnie, a przynajmniej w przeważnej jej większości, wszystko: wszystkie stany i warstwy mogą podlegać krytyce — oprócz tej tylko, która

finansowe interesa kraju trzyma w dobroczynnej swej dłoni.

I tutaj właśnie widzimy fakt ciekawy i jedyny w swoim rodzaju. Widzimy jak potomkowie dawnych arnary wiejskich bezczeszcą i wyszydzą stan ziemiański w „Przeglądach Tygodniowych“; widzimy jak cała falanga bezwyznaniowych łotrzyków i pajaców miota się, ku uciesze nędznej gawiedzi swych słuchaczy, na duchowieństwo; widzimy wreszcie jak lada reporterek „Kuryerkowy“ czuje się powołanym do „umoralniania“ rzemieślnika. Widzimy, słowem, krytykę wszystkiego i wszystkich, ale krytyki działalności u a s z e j (!) plutokracyi, krytyki całego, tyle dziś licznego i w stosunkach ekonomicznych najbardziej wpływowego żywiołu, jakim jest żywioł „ucywilizowanego“ i jakoby „uobywatelonego“ żydowstwa;—krytyki, słowem, tyle słynnej „gospodarki finansistów warszawskich“ nikt w tej prasie, zarówno liberalnej jak i zachowawczej,—nikt i nigdy nie dostrzegł.

Owszem, istnieje tutaj stale jeden jedyny sposób traktowania tak rzeczy jak i ludzi—sposób apologiczny. Proszę bo przejrzeć choćby tylko sprawozdania naszych dzienników z dorocznych posiedzeń w instytucjach, których ster trzyma klika plutokratyczna. Czy znajdzie tam kto słówko bodajby najłżejszej nagany? Jako żywo, nigdy! Owszem, wszystko, cokolwiek zrobi, postanowi ten lub inny zarząd żydowsko-plutokratyczny, lub jego... manekiny, wszystko to jest zawsze dobrem, doskonałym, mądrym i zmierzającym jedynie do uszczęśliwienia ogółu! Zdaje się iż gdyby tam rządili nie butni chciwcy, dla których złoto jest wszystkim: i Bogiem i sumieniem i honorem, ale same uosobienia prawości, uczciwości i miłości dobra publicznego, to lepiej już działałoby się nie mogło. I nie koniec na tem. Bo oto gdy przypadkiem — tylko przypadkiem — zrodzi się w tej lub owej instytucyi, wpośród jej uczestników, jakakolwiek opozycja, wówczas ciż sami sumienni i niezależni „przedstawiciele i stróże opinii publicznej“ uważają za rzecz najpilniejszą, za najpierwszy obowiązek publicystyczny—oponentów wyszydzić, zgnębić, ośmieszyć, czyli słowem, zrobić wszystko co można, byleby zarząd, złożony z członków zawsze jednej i tej samej kliki finansowej, otoczyć tem jaśniejszą aureolą czystości, cnoty obywatelskiej i poświęcenia!

Nie są to czcze ani złośliwe posądzenia. Jest to prąd najczystsza, której zresztą dowiedliśmy bardzo wyra-

źnie w rozbiórce onej „obywatelskiej“ (!) działalności finansistów warszawskich i której nikt nie zakwestyonował.

Gdybyśmy jednak chcieli dochodzić przyczyn takiego uprzywilejowania w prasie klasy finansistów, musielibyśmy zejść nieco za daleko. Musielibyśmy zajrzeć za kulisy naszych stosunków dziennikarsko... semickich, zedrzeć niejedną maskę kryjącą fałsz i ohydny obłudę względem własnego, „ukochanego społeczeństwa“, musielibyśmy dokonać, wreszcie, wielu wstrętnych i przykrych wiwisekcyj na wielu „znanych“ i „utalentowanych“, a na to jeszcze—nie pora. Zapytamy więc tylko, czy ta, jedyna w swoim rodzaju, tolerancya w prasie dla przedstawicieli złota, giełdy i szwindlu, nie musi ich ośmielać do samowoli i absolutyzmu? Czy taki brak kontroli ze strony opinii i jej przedstawicielki: prasy, nie mógł, czy nie musiał nawet zrządzić, że gospodarka finansistów warszawskich jest taką a nie inną? Zdaje się iż dwóch odpowiedzi być tu nie może.

A jednak, jest to, powtarzamy, stanowcze nasze przekonanie, iż mimo takiego położenia rzeczy, jakie tutaj, acz w głównych tylko rysach, staraliśmy się skreślić, rozciągnięcie pewnego nadzoru społeczeństwa nad oną „gospodarką“ i wzięcie jej pod kontrolę publiczną — jest praktycznie możliwe. W jaki sposób — o tem właśnie wypadnie nam, choćby się to wielu nie podobało, pomówić jeszcze w artykule następnym.

(Dokończenie nastąpi.)

DYALOGI WIEJSKIE.

XI.

- Obmawiają cię, panie Feliksie!
 — No?
 — A tak. Nie wiem czy prawda, czy plotka, ale głos powszechny, naturalnie głos naszej okolicy, utrzymuje, że masz zamiar popełnić pewne głupstwo...
 — Nie. Popelniania głupstw strzegę się, o ile możliwości.
 — A jednak, podobno... zenisz się. Czy tak?
 — Więc to jest głupstwo?! To, co ja uważam za najwyższe szczęście na tym padole płaczu, za spełnienie marzeń... Gdybyś ją znał, nie powiedziałbyś takiej herezy!
 — Ja ją znam.

świeciły na tle bladych, matowej cery twarzach, zarysowanych wyraziście, miejscami nawet zbyt ostro.

Łuna życia biła z tej młodej energicznej głowy, podniesionej dumnie, z świadomością siły lat dwudziestu i kilku.

Szybko jak gdyby mu ktoś groził zabranieniem potraw, spożywał Bolesław obiad. Kiedy skończył i wypił kawę, zapalił papierosa.

— Może wolisz cygaro?—zapytała sędzina.

— Dziękuję, mateczce, cygaro pali się za długo; nie lubię być krępowanym rozmiarami liścia hawańskiego—odpowiedział Bolesław.

Zaciągnął się pełną piersią i wypuścił z płuc prosty strumień czarnego dymu.

— Zmachałem się dziś okropnie; — odezwał się po chwili — niemcy umieją odbić pensye, które płacą. Ale ta szopka dyrektorska zbliża się ku rozwiązaniu; mam jej dosyć.

Z trwogą spojrziała sędzina, do drugiego pokoju.

— Bój się Boga, ojciec może usłyszeć—wyrzekła.

— A niechaj słyszy; powiem mu to sam.

Sędzina dotknęła powtórnie palcem swych bladych i wązkich ust.

— Mów ciszej, Bolku. Czy spotkała cię jaka przykrość?

„NARWAŃCY“

POWIEŚĆ

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Bolesław zdjął z siebie wierzchnie ubranie i podał je wraz z kapeluszem służącemu.

— Duchem, Janie, niech poczuje coś w żołądku, bo jęgomość ten nie lubi bratać się z głodem, żywo na jednej nodze!

Lokaj skoczył do kuchni, a Bolesław zajął swoje miejsce przy stole. Naprzeciw niego usiadła sędzina.

Oczy matki i syna spotkały się i zapłonęły miłością. Ten przelotny błysk objaśniał dostatecznie stosunek, jaki panował między sędziną a jej dzieckiem. Kochali się serdecznie.

Bolesław był podobnym do matki swojej, jak kwitnąca wiosna do pogody jesiennej. Syn wziął po rodzicielce wzrost, ruchy i oblicze. Te same czarne, przenikliwe oczy

— Ty? Przecież nie bywasz w * * !
 — Nie bywam—ale cóż to przeszkadza? Jeżeli chcesz, opiszę ci zaraz, jak twoje bóstwo wygląda.

— Ciekawym!

— Ma prześliczne oczy, któremi umie patrzeć tak, jak żadna jeszcze kobieta nie patrzyła na ciebie; dalej, warkocze wspaniałe, kibić zachwycająca, rączka jak utoczona; przytem, bóstwo twoje jest dobre, jak anioł, poczciwe, znaczne, słowem, zbiór wszelkich cnót i przymiotów...

— Zkąd ty ją tak znasz?

— Znam — wszak na wsi mieszka?

— Tak.

— Więc powiem ci jeszcze więcej... Za strojami nie przepada, ale ładny ekwipaż bardzo lubi,

— Prawda, dalebóg prawda!

— Gospodyni zawołana, konfitury smarzy, jak najlepszy cukiernik...

— Co to, jak cukiernik! Lourse niech się schowa!

— Wiedziałem o tem. Posagu wiele mieć nie będzie, a i to dostanie nie zaraz...

— Istotnie?...

— I to, naturalnie, o tyle, o ile przedtem jeszcze „żydkowie“ nie sprzedadzą wioski...

— Cóż znowu!

— Oburza cię taka myśl? Słusznie—i mnie ona oburza; boć taka przymusowa sprzedaż, to operacja bolesna nie tylko dla pacyenta, ale i dla patrzących. Ale powiedz, czy nie znam twojej panny?

— Znasz ją, znasz; to mi tylko dziwne, żem cię tam nigdy nie spotkał.. Sądząc z tego, co mówisz, możnaby przypuścić, że bywasz często w domu jej rodziców...

— Jeżeli mam być szczery, to przyznam ci się, że u rodziców twego bóstwa nie bywam i nie widziałem ich nigdy w życiu. Pytasz, jakim sposobem mogłem skreślić przymioty twojej panny i jej stan majątkowy? Bardzo prostym. W oczach zakochanego, każda wydaje się cudem piękności — to prawo ogólne; każda zaś prawie panna wiejska, zwłaszcza w tych ciężkich czasach, może się spodziewać posagu dopiero po najdłuższym życiu rodziców, i to, naturalnie, o tyle, o ile „żydkowie“ nie sprzedadzą wioski za długi, jeszcze przed tym terminem... Takie już jest prawo, specjalne, wiejskie... Otóż, na podstawie tych dwóch praw, określiłem ci, kochany panie Feliksie, piękność twego bóstwa, jego stan majątkowy, a nawet potroszę i upodobania...

— Prawda; teoretycznie tak. . ale gdybyś ją zobaczył, gdybyś chociaż raz w życiu spojrzął w jej oczy!...

— Patrzyłem, patrzyłem, mój kochany, w niejedne oczy... w czarne, niebieskie, w zielonkowate, w jakie się trafiło...

— I ztąd taki pesymizm!? i ztąd niechęć do małżeństwa! O, nieszczęśliwy! toś chyba jeszcze prawdziwych oczów nie widział! Inaczej nie śmiałyś powiedzieć człowie-

— Nic mnie nie spotkało, bo rozbiłbym temu szwabowi marny czerep, gdyby się osmielił ubliżyć mi w czemkolwiek.

— Więc cóż się stało?

— Sprzykrzyło mi się poprostu fuszerowanie w fachu, do którego nie czuję żadnego pociągu. Ojciec życzył sobie, abym został mechanikiem, więc nie opierałem się, ale teraz na mnie kolej pomyśleć o tem co będzie jutro. Nie jestem już dzieckiem.

Sędzina podniosła się z krzesła, zbliżyła się ostrożnie do drzwi gabinetu, a przekonawszy się, że sędzia drzemie w fotelu, wróciła do syna.

— Dziecko moje, — wyrekła z cicha, obejmując ramieniem głowę Bolesława—rozważ dobrze, zanim coś postanowisz. Ty nie wiesz, jaki ojciec szczęśliwy z twojego obecnego położenia, i jakbyś go zmartwił, gdybyś je zmienił.

— Wiem bardzo dobrze, że ojciec pragnie zrobić ze mnie człowieka praktycznego, że marzy dla mnie o wielkiej fortunie, o wpływach za pomocą pieniędzy, że najwyższym jego ideałem jest spokojne, równe życie bogatego filistra. Ale cóżem ja temu winien, że mi taki cel nie wystarcza, że mi się taki kres mojej pracy wydaje błahym, nikczemnym nawet? Cóżem ja temu winien, że mnie los z innej, z twojej, matczko, ulepił gliny, że wlał w krew moją twoje technienie i serce twojemi zapłodził tęsknotami?

kowi, który się żeni—że popełnia głupstwo! Przecież trzeba mieć jakiś cel w życiu, rodzinę. Trzeba pracować dla kogoś, nie zamykać się w twardej skorupie egoizmu. Czyż nie tak? przyznaj sam...

— Istotnie, od lat bardzo, a bardzo wielu, to samo, mniej więcej, powiadali wszyscy zakochani. Leander narażał się nie tylko na katar, ale na śmierć—a jednak płynął do Hery... Abelard z Heloizą, Romeo z Julią, wszyscy w ogóle dotknięci chorobą zwaną „mania amorosa“, rozumowali, mniej więcej, w ten sam sposób, jak ty, panie Feliksie, obecnie.

— I czegoż to dowodzi? Dowodzi tylko, że miłość była zawsze potrzebą człowieka, że chęć założenia domowego ogniska jest nam, ludziom śmiertelnym, wrodzoną. Jakże więc możesz nazywać głupstwem taką szlachetną, powiem nawet idealną dążność?

— Zapewne. Z twojego punktu widzenia, małżeństwo, to rozkoszna sielanka, mój przyjacielu; ale ja tego zdania nie podzielam... Zresztą, postawię kwestyę na gruncie praktycznym. Twoja narzeczona jest piękna?

— Jak marzenie!

— Dobra?

— Jak anioł!

— A bogata?

— No... to, widzisz... jest względne..

— Krótko mówiąc, niema nic!

— Co to znaczy? Ona sama więcej warta, niż dziesięć majątków!

— Przypuśćmy—choć nie sądzę, żeby na poczet tej wartości żydzi dali choćby kilkaset rubli..

— Jesteś niemożliwy!

— Dajmy na to; ale mamy mówić o małżeństwie. Poznaliśmy już w zarysie ją, teraz zobaczymy, jak jegomość wygląda...

— Widzisz przecie...

— No — o powierzchowności niema co mówić. Wiadomo, że jesteś mężczyzna przystojny, pokązny, i nie ulega wątpliwości, że twoja narzeczona jest głęboko przekonana o tem, iż równie pięknego i miłego chłopca niema w całej Europie. Co? w Europie! — w świecie całym! To także, widzisz, prawo, prawo ogólne; lecz o powierzchowność nie chodzi. Nie chodzi także o twoje wewnętrzne zalety, przyjmujemy bowiem za pewnik niewzruszony, bez dyskusji, że jesteś zacny, dobry, godny, cnotliwy, — że będziesz mężem idealnym, wzorem wierności małżeńskiej, — słowem, że będziesz się kwalifikował do złotego medalu, na wystawie najczulszych mężów.

— Daj pokój żartom.

— A, nie — mówimy seryo. Najzupełniej seryo. Otóż, widzisz, znamy twoje przymioty zewnętrzne i wewnętrzne; idzie teraz o kwestyę substancyi. Jak cię szanują, kochany panie Feliksie, to rzecz nie bagatelna, to kwestya pierwszorzędного znaczenia.

— Ja podzielam zamiary ojca — odezwała się sędzina, nie patrząc w oczy syna.

On pochwycił jej rękę i przyłożywszy je do swej pierśsi, mówił:

— Nie obraż się mamó, jeżeli ci powiem, że nie wierzę w szczerosć słów twoich. Przecież jestem nie tylko synem, ale i wychowawcem twoim. Mimo to poddam się bez szemrania woli ojca, jeżeli mi oświadczysz, że żądasz stanowczo, abym oszalał w tej nędznej mieścinie prowincjonalnej, wśród turkotu kół fabrycznych i plotek głupich ludzi.

Sędzina milczała.

— Nie odpowiadasz, matczko?

— Mów, co zamierzasz uczynić, mój synu? — zapytała pani Orlikowska stłumionym głosem.

— Co zamierzam uczynić? — zawołał młodzieniec. — Chcę wcielić marzenia, które mnie ścigają od pierwszej chwili budzącej się świadomości, chcę stanąć przed społeczeństwem mojem, jako jeden z jego kierowników i nauczycieli.

Bolesław wstał z krzesła

— W czaszce mojej kipi tyle myśli, tyle potężnych, świętych zachwyków przepelnia serce moje, że czuję, iż obdziałę niemi całe tłumy i jeszcze ich dla mnie dosyć zostanie. Chcę być publicystą, matko moja, chcę pojąć prawo

— Zapewne...

— Nie zapewne, ale bezwątpienia. Powiedźże mi, mój drogi, co ty masz?

— Mam folwark, nie duży wprawdzie, ale dwadzieścia kilka włók, w dobrej glebie, trochę lasu, trochę łąki, zabudowania jakie takie, inwentarz przyzwoity...

— To jest twój własny folwark?

— A czyżże, u licha, ma być? Skoro ci powiadam że mój, to mój. Zresztą, jak nie wierzysz, to zajrzyj do hypoteki, tytuł własności jest wyraźny.

— Zaglądałem do hypoteki i właśnie z tego powodu zwątpiłem, ażali ów folwarczek do ciebie należy... Masz dwadzieścia kilka włók, ale na nich siedzą wierzyciele, na nich siedzi Towarzystwo Kredytowe; musisz opłacać raty i procenta, a to w dzisiejszych smutnych czasach nie łatwo. Z tego więc powodu twierdzą, że ten folwark, chociaż nominalnie twój, nie jest przecież twój, bo nie możesz dowolnie rozporządzać dochodami, jakie on przynosi.

— Jednak dotychczas trzymam się...

— Boś sam jeden, mój dobrodzieju. *Kracus.*

(Dalszy ciąg nastąpi.)

FRANCYA ŻYDZIAŁA.

STUDIUM Z HISTORII WSPÓŁCZESNEJ

przez Edwarda Drumoní.

Tom II.

Paryż żydowski i społeczeństwo francuskie.

(Dalszy ciąg.)

Nikt nie ma odwagi wywieść z błędu tych oszukanych. Jest rzeczywiście coś rozdzierającego serce w widoku tego biednego aryjczyka, który pozwolił się wypędzić ze swoich zamków, ogołocić ze wszystkiego co posiadał, z dzieciinną radością otrzępującego z pyłu jakąś zbroję apokryficzną, jakiś sprzęt sfabrykowany, który jakiś żyd umiał mu sprzedać na wagę złota. Gdy krach i tutaj nastąpi, kiedy kursa konwencyonalne, podtrzymywane przez syndykaty kupieckie spadną, nastąpi straszliwa katastrofa, nikt nie da dziesięciu tysięcy franków za zbiory, które kosztowały po sześć kroć.

Proszę czytać książkę p. Pawła Eudel'a o podrabianiu, która powinna być w rękach wszystkich rodzin aby je uchroniła od ruiny. Począwszy od zabytków przedhistorycznych aż do Diazów i Karolów Jacquesów, wszystko jest przedmiotem ohydneho podrabiania. Fabrykują fałszywe krzemienie, fałszywe posążki tanagryjskie, fałszywe figurki z porcelany sewrskiej i saskiej, fałszywe medale, fałszywe autografy, fałszywe brzozy.

przemawiania do tysięcy i wlewania w nie duszy mojej gorące płomienie.

Postać Bolesława zdawała się odrywać od ziemi. Głowę podniósł do góry, oczy jego płonęły. Prawą rękę wyciągnął przed siebie. Stał jak wódz, wskazujący żołnierzom swoim drogę do chwały.

Odblask tego zapалу młodzieńczego padł na twarz matki, która wpatrywała się w syna z uwielbieniem najwyższej miłości. Lekki rumieniec zabarwił zwiędłe policzki sędziny.

— Dziecko moje, dziecko ukochane — mówiła, kiedy Bolesław skończył — z mojej strony nie znajdziesz żadnej przeszkody; ja pobłogosławię cię z bołością na tę krwawą walkę i będę prosiła Boga, aby ci oszczędził choć połowę tych rozczarowań, które czekają na świecie każdego szlachetniejszego człowieka. O, bo ty nie wiesz jeszcze, jacy ludzie bywają mali i podli, zwłaszcza, gdy muszą komuś zazdrościć talentu albo szczęścia.

Bolesław uchylił się przed sędziną, a ona objęła jego głowę rękami.

— Ja pobłogosławię cię z bołością na tę krwawą walkę — powtórzyła.

Dwie duże łzy spadły na włosy Bolesława.

Kilka chwil przetrwali w niemym uścisku. Pierwszy Bolesław ochłonął.

Są w tej książce wyborne anegdoty i zabawne kawałki. Cóż może być piękniejszego nad historję opowiadaną przez Coblentza, który celował w fabrykacyi miniatur i szarych malowideł w guście Sauvage'a. Pewnego dnia posłał przez kogoś do pewnego znacznego kupca na sprzedaż miniaturę zrobioną przez siebie. Kupiec nabył ją bez wahania. W jakiś czas potem zjawia się ktoś z drugą miniaturą podobną. Tym razem kupiec nie chciał słyszeć o kupnie i nawet ofuknął sprzedającego, że mu chciał wetknąć rzecz podrobioną. Ten udał, że się na tem nie zna.

— Ja panu pokażę prawdziwych Sauvage'ów — rzekł handlarz i otworzył szufladę pełną szarych malowideł. — I te nie są podpisane, ale mówią same za siebie!

Tymczasem to wszystko były miniatury Coblentza, który dziś jeszcze śmieje się z tego.

Tutaj znów ujawnia się brak wszelkiej inicjatywy u arystokracji. Niegdyś wielcy panowie wspierali, zakładali sami fabryki artystyczne; fabryka fajansów w Oiron, fabryki rouenskie, szkoła Clerissy zawdzięczają swój początek szlachetnej fantazyi. Patrycyusz dawał rady garncarzowi, malarzowi, rzeźbiarzowi; wspomagał go nie tylko datkiem pieniężnym ale uwagami, częstokroć bardzo trafnymi i pożytecznymi. Wszystko to teraz znikło. Ani jednemu z wielkich panów nie przyszło do głowy zamówić u malarza jakiś obraz wzruszający, któryby upamiętnił dzisiejsze skandale, pogwałcenia nietykalności mieszkań i przekazał przyszłości pamięć tych bezpraw; za to przepłacają jeden nad drugiego lada obraz, zapomocą specjalnej metody malowany na staro, lada kredens, roboty biednego rzemieślnika z Batignolles, który tak się żali: — „Hrabia X. kupił taki sam kredens od żyda M. za pięćdziesiąt tysięcy franków. Gdybym ja mu zacenił za niego sześć tysięcy, wyrzuciłby mnie za drzwi. Oj, głupcy! głupcy!..“

Pomiędzy tymi tandeciarzami żydowskimi są tacy, którzy budzą niemal uwielbienie. Przy pewnej dozie śmiałości, oszust wychodzi prawie na geniusza; dowodzi to w każdym razie intelektualnej (?) wyższości jednej rasy nad drugą. Niezdolny pochwyć nawet myśli pewnych rujnujących mistyfikacyi finansowych żydowskich, aryjczyk nie byłby w stanie rywalizować z takim Safirą. Co za siła przekonania, przebiegłości, dyplomacyi, zręczności w obrabianiu ludzi u tego szalbierza, który zdołał sprzedać Muzeum berlińskiemu za pięć czy sześćkroć sto tysięcy franków, zbiór naczyń glinianych moabickich, kompletnie fałszywy!

Sądźcie że Safira poprzestał na tem? Nie znacie tego gatunku, który idzie ciągle naprzód, nie znając granic zuchwalsstwa, czerpanego w bezdennej dla nas pogardzie. Safira zaproponował najspokojniej Muzeum brytańskiemu sprzedaż za milion funtów szterlingów egzemplarza *Deuteronomium* pisanego po moabicku, a liczącego 27 do 28 wieków. Interes był już prawie na ukończeniu, i byłby się udał, gdyby nie interwencya wielkiego archeologa francuzkiego p. Clermont-Ganneau, który otworzył oczy anglikom

— Nie obawiaj się, mateczko, nic mi nie będzie — mówił. — Pójdę w świat z wiarą w czystość zamiarów moich i z nadzieją, że mi ludzie uczciwi trud i bojowanie wynagrodzą kiedyś uznaniem. Czuję, że nie padnę, że dojdę, dokąd zmierzam. Cokolwiekby mnie czekało, zniosę odważnie. Abyś zaś nie myślała, mateczko, że rzucam się lekkomyślnie na niepewne fale losu, przeczytaj ten list. Wiesz że posyłam artykuły do „Gwiazdy“. Redaktor tego pisma zachęca mnie do dalszej pracy, wróży mi świetną przyszłość i obiecuje poparcie, gdybym się w Warszawie osiedlił.

Sędzina rozwinęła chciwie pismo, które jej Bolesław podał. Były w niem zwykłe grzeczności redaktorskie, przeznaczane dla korespondentów zamiejscowych, ale pani Orlikowskiej wydawały się słowa, czerniejące na blankiecie „Gwiazdy“, patentem na zdolność jej syna.

— Niech cię Bóg prowadzi, moje dziecko, — wyrzekła, skończywszy czytanie — i niech głowę twoją oświeci, abyś widział zawsze to, co krajowi pożytek przyniesie. Ale ojciec, co powie ojciec?

— Nie wątpię że będzie się zrazu sprzeciwiał, mam jednak nadzieję, iż ustąpi, gdy go przekonam.

— O, obawiam się bardzo waszej rozprawy. Ojciec umie się strasznie gniewać, jak wszyscy flegmatycy, i pamięta długo, gdy się raz na kogo zawezmie. Jeżeli można, odsuń jak najdalej krok stanowczy. (d. c. n.)

i wykazał oszustwo. Safira z rozpaczy odebrał sobie życie w Rotterdamie, w Marcu 1884, a we Wrześniu 1885 sławny egzemplarz *Deutoronomium* sprzedano za sto franków w Londynie.

Wścigi są jeszcze bardziej rujnujące niż zamiłowanie w starożytnościach. Tak zwany „bookmaker“, którego powien dopcipny człowiek nazwał „skończonym rzeźmie-szkiem“, bywa zwykle żydem angielskim. Właścicielem jednej z pierwszych stajen wścigowych jest izraelita, wmięszany w sprawę Hondurasów i w Maju 1856 skazany na dwa miesiące więzienia za nadużycie zaufania. Każdy zna tę historję. Ogłoszono list księcia Decazes z Czerwca 1875 stwierdzający fakt ten w sposób niezbyt. Intruz ten jednak jest tolerowany, dlatego że jest żydem, a „Clairon“ nazywa go od czasu do czasu „naszym sympatycznym hodowcą koni“. Elegancki nasze nie wzdragają się nosić barw oszusta, gdy koń jego zwycięży, tak jak ich prababki nosiły na turniejach barwę rycerzy, którzy się męztwem odznaczyli.

Łatwo sobie wyobrazić co szalierstw, co podłości i bezwstydu dzieje się w tym świecie turfu. Jak zawsze, ofiarą jest tutaj aryjczyk, szlachcic, człowiek uczciwy; czasami oszuści, niezadowoleni tem że go zrujnowali, bezczeszczą go w dodatku. Przekupują jego dżokeja i wplątywają go w jaką brudną sprawę, z której imię wychodzi zawsze nieco nadwyrażone.

O pewnych hipodromach dzienniki, wszystkie prawie bez wyjątku, tak się mniej więcej wyrażają:

„Okradają tam i mordują jak w lesie, z tą różnicą, że kiedy rozbójnicy leśni, z pistoletem lub nożem w garści operują w nocy podróznich, ci podmiejscy operują w biały dzień z *ticketem* w ręce. Cynizm złodziejski objawia się tam zuchwalej niż gdziekolwiek na ziemi. Wszyscy o nim wiedzą i, rzecz niesłychana, to nikczemne oszukaństwo, tracące bandytyzmem panującym w najbliższych dzielnicach Londynu, zdaje się być tolerowanym przez policję, zachęcanem przez żandarmów, protegowanem przez sędziów. Dziwna rzecz, iż dotąd żadne prawo, nikt zgola nie pomyślał o rozpedzeniu tej bandy rozbójniczej i o przywróceniu tych pól ich właściwemu przeznaczeniu, jakim jest produkcja siana i kartofli“.

Dzieją się tam sceny, którym trudno dać nazwisko. Koń, na którego wygraną z pewnością liczono, zostaje w tyle. Można tam z trybuny usłyszeć, jak dżokeje, hamując swoje rumaki, krzyczą na swego kolegę: „A dojeżdżaj że prędzej!“

Pewnego razu dżokeja Andrewsa o mało co nie zamordowali jego współzawodnicy. Innym razem tłum zaprotestował przeciw zbyt jawnemu oszukaństwu; wtedy dżokeje pochycili jednego z manifestantów, wciągnęli do swojej garderoby i oćwiczywszy go szpicrutami, zostawili napół niezżywego.

Litość bierze, patrząc na człowieka noszącego nazwisko Castries'ów, potomka zwycięcy pod Clostercamp, obecnego na tem ohydym widowisku smagania francuza przez dziecięciu parobków angielskich, połączonych przeciw jednemu człowiekowi.

Oto dokąd prowadzą próżniactwo, życie turfowe, zamiłowanie do rozrywek nikczemnych.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Zastępca.

(Szkie do powlastki)

przez

Klemensa Junoszę.

(Dokończenie.)

— Jakież było powitanie? radosne zapewne...

— O radosne nad wyraz, — rzekł z goryczą, — radosne jak pogrzyb. Podała mi rękę i zalała się łzami, że ledwim ją zdołał uspokoić. Mówiła o matce, o mężu, o ciężkim losie jaki ją spotkał. Trzeba było jakoś poradzić przyjsć z pomocą. Mówiłem ci że jestem oszczędny i że mam bardzo ograniczone potrzeby, ztąd trzymały mnie się pieniądze i zawsze miałem jakiś skromny zapasik. Mogłem więc Cesi dopomódz. Jakoż wziąłem lepsze mieszkanie, zapewnilem jej doktora, aptekę, gdyż potrzebowała się leczyć. Sam wynająłem tę samą stancyjkę w której mieszkałem niegdys i przyjąłem obowiązek u tego samego regenta co dawniej. Com zarobił tom oddawał Cesi, i taki stosunek trwał rok, czy półtora,

ale ponieważ miasteczko jest zawsze miasteczkiem, gniazdem plotek wszelkich i potwarzy, więc zaczęły kursować po mieście gawędki ubliżające godności uczciwej kobiety. Podłe, nikczemne gawędki, kursowały i doszły do niej samej przez usłuzne przyjaciółki.

Co to było płaczu, co rozpaczy! nie chciała już nic wziąć odemnie, ani też mnie w swoim domu przyjmować. Zachodziłem w głowę co robić i nie mogłem znaleźć drogi wyjścia. Nareszcie zwierzyłem się z mojem zmartwieniem przed regentem. Pomyślałem sobie: stary doświadczony człowiek znajdzie przecie jaką radę w tym razie. Jakoż znalazł — żebym się z Cesią ożenił; tym sposobem będę mógł jej nadal dopomagać i zarazem zamknę usta złośliwym kumoszkom. Przyznam ci się, że mnie myśl podobna nigdy przez głowę nie przeszła. Ja mężem Cesi, tej Cesi której traślały się świetne partye. Ja nieśmiałybym nawet odezwać się z taką propozycją! Ale poczciwy regent sam poszedł do niej, namawiał, przedstawiał, że powinna to zrobić dla przyszłości dzieci, dla zabezpieczenia sobie bytu. Rezultat był taki, że po długim namysle pozwoliła żebym do niej przyszedł.

— I oświadczyłeś się?

— Oszczędziła mi tego; może domyślała się, że mnie, nieśmialemu człowiekowi, trudno będzie to co myślę, słowami wyrazić. Sama więc wszczyła roznowę, ale gdy mogłem mniemać, że jestem u wrót szczęścia, oblała mnie takim chłodem, że przytomniał odrazu.

— Jakto?

— Panie Teodorze, — rzekła do mnie, przystępując wprost do rzeczy, bez przygotowań żadnych, bez wstępów, do tylu ofiar, które dla naszej rodziny zrobiłeś, chcesz dodać jeszcze jedną, może największą, chcesz mi dać swoją dozoną opiekę, zostać przybrany ojcem moich dzieci. Zastanów się dobrze co robisz. Narówni z innymi, masz przecie prawo do szczęścia, a w związku ze mną, tego szczęścia nie znajdziesz. Nie sądz że jestem jeszcze tą samą Cesią, młodą, uśmiechniętą, wesołą. Nie, panie Teodorze, tamta już martwa, ta zaś, którą widzisz przed sobą, to tylko cień, błakający się po ziemi. Zastanów się, czy chcesz pilnować grobu, czy chcesz być stróżem umarłej, pomyśl?

— Cóż jej odpowiedział?

— Powiedziałem tak: chcę być stróżem umarłej, którą, kochałem za życia. Było to jedyne wyznanie miłości, jakie usłyszała odemnie, jedyne, pierwsze i ostatnie.

— Nie sądzę, przecież to kobieta młoda, przywiąże się do ciebie, z czasem zapomni o tamtym, pokocha...

— Nie znasz jej, kochany przyjacielu, nie znasz jej. Zresztą, już takie moje szczęście że mnie nikt nie pokocha na świecie. Ślub nasz odbył się raniutko, zaraz po mszy. Ona była w czarnej sukni, ja w zwykłym, codziennem ubraniu. Stało się, zostałem jej mężem. Przyszliśmy do domu na herbatę. Ona była bardzo wzruszoną — płakała; ja ująłem jej rękę i złożyłem na niej pocałunek. Słyszysz pocałunek, pierwszy i zdaje się ostatni. Potem, wszystko wróciło do dawnego trybu. Ja zamieszkałem w tym samym domu, w pokoiku osobnym na piętrze, ona z dziećmi zajmowała lokal parterowy. Pracy u regenta było dużo, — chleba nie brakło. Aż oto po kilku tygodniach, zaszła okoliczność, która zmusiła mnie, abym się udał do ciebie. Moja żona zaczęła coraz bardziej z sił opadać. Dostrzegłem, że wygląda coraz mizerniej, a twarz jej robi się taka biała i przezroczysta, jak wosk. Przeraziło mnie to. Poszedłem do doktora, który zawsze ją leczył, ażeby zasięgnąć jego rady, zapytać się co robić?

— I jakież wyrok? Czy przepowiada ci jakie nieszczęście, bo dziwnie ta twoja dola nieszczęsna... aż się nie chcę domyślać doprawdy.

— Nie, przeciwnie, zapewnił mnie że nic groźnego niema, że zdrowie może jej wrócić, obiecywał nawet, że ta twarz woskowa zarumieni się jeszcze; ale do tego trzeba lasów sosnowych, czystego powietrza, mleka. Tem powiedzeniem zabił mi klina w głowę, chodzę jak błędny i dumam, zkad wezmę dla niej tego lasu, zkad tego powietrza? Można by co prawda, wynająć gdzie na wsi, domeczek, ale w takim razie, jaby nie mógł być u nich, bo funduszu potrzeba, a jak nie będę pracował u regenta — to zkadże wezmę. Po nocach nie spałem, szukając w myśli jakiego sposobu, jakiej drogi wyjścia — nareszcie dowiedziałem się, że w zarządzie dóbr **, właśnie wśród największych lasów położonych, wakuje posada kasyera. Pensyjka niewielka, ale ordynaryja jest. — żyć można, a co najważniejsza jest ten uzdrawiający las sosnowy, jest powietrze, to zbawienie powietrze, dla niej i dla dzieci. Słyszałem że masz stosunki w zarządzie, pomóż mi, niech ja dostanę tę posadę. Do końca życia wdzięcznym będę, boć rozumiesz, że to nie dla mnie, ale dla

niej, że tu właściwie nie o posadę idzie, lecz o las. Ja się nikomu w życiu nie kłaniałem, ale dziś kłaniam się chętnie, proszę, błagam...

— Dajże pokój. Nie potrzebujesz ani błagać, ani kłaniać się, dostaniesz list rekomendacyjny, do głównego plenipotenty, który jest blizki mój krewny, i rzecz skończona. Twoja biedna Cesia i jej dzieci, będą miały las.

— Czy to prawda? Czy mnie nie łudzisz?

— Jesteś dzieciak, skoro ci mówię że tak, to tak.

— Przyjacielu, do końca życia...

— Daj pokój, nie mówmy już o tem, pomyślmy raczej o kaucyi, gdyż, o ile mi wiadomo, ta jest wymagana koniecznie.

— Ja już mam kaucyę, już pomyślałem o tem.

— Zkądże masz?

— Daje mi ją mój regent.

— Kto?

— No mówię ci regent, u którego pracuję.

— Ten W...

— Tak, ten W., już mówiłem z nim o tem, przyrzekł mi dać kaucyę hipoteczną na swoim własnym domu.

— Ten jeden fakt, jest dla ciebie najlepszą rekomendacją.

— Nie rozumiem.

— Jeżeli człowiek, który w niczyją uczciwość nie wierzy, a majątek kocha nad wszystko, ręczy za ciebie majątkiem, to już nie potrzebujesz lepszej rekomendacji.

— Więc mi odmawiasz? zawołał przerażony.

— Ależ nie. Na poczekaniu list ci napiszę. osiądź ze swoją Cesią, w sosnowych lasach, może ich balsamiczny zapach wróci jej zdrowie, a szum ich gałęzi wytłumaczy jej że za tyle poświęceń należy się nagroda.

Po roku, u drzwi mego mieszkania, brząknął dzwonek, i ujrzałem znowuż pana Teodora. Zdawało mi się, że jakby trochę odmłodził, ubrany był bardzo starannie, w rękę trzymał osłonięty koszyk.

— Jak się masz poruczniku, — zawołałem — przypomniałeś sobie o mnie nareszcie.

— Wprost z kolei przychodzę — odrzekł.

— Wyglądasz znacznie lepiej. Widocznie musiało ci się nareszcie życie uśmiechnąć. Jakże twoja Cesia?

— Dziękuję, serdecznie dziękuję.

— Zdrowsza?

— Nie poznać.

— Weselsza?

— Cokolwiek... Przywiozłem ci tu trochę kwiatów... w Warszawie takich nie masz...

— Cóż to za kwiaty?

— To niezapominajki...

— Poeto!

— Czy wiesz — rzekł, niżając głos, jakby się obawiał, żeby kto nie podsłuchał — czy ty wiesz... jej oczy znowuż są takie...

Ująłem go za rękę i zaprowadziłem do swego gabinetu.

Butelka starego wina znalazła się na stole i rozwiązała mu usta.

Opowiadał z ożywieniem.

— Słuchaj — rzekł — każdy tydzień przynosił jakąś zmianę; gdy przychodziłem do kancelaryi na obiad, wpatrywałem się pilnie w jej twarz i obserwowałem... Woskowa bladeść znikła powoli, ale stale, stopniowo... Po kilku miesiącach, zdawało mi się, że z pod bladej zasłony przebija jakby jakiś, ledwie dostrzegalny, odcień różowawy. Tego nikt nie widział, nikt nie spostrzegł, ale ja widziałem; słuchaj, ja to widziałem!... Może pani Malicka, gdyby żyła, mogłaby to dostrzedz, może... ale prędzej nie... a ja dostrzegłem! Później, odcień ten zarysował się wyraźniej, nabrał barwy bladego listka polnej róży... a teraz... Przyjedź kiedy do nas, to zobaczysz, jak jest teraz... Czy przyrzekasz mi to?

— Owszem, przyrzekam.

— Pod słowem?

— Naturalnie.

— Dajże rękę; bo widzisz, jabym pragnął, żebyś ty ją poznał...

— Z przyjemnością was odwiedzę; lecz powiedz mi, jakże ona dla ciebie?

— Dla mnie? — zapytał — dla mnie?... to jest... niby, pod jakim względem?

— Czy zawsze jesteś stróżem umarłej?

Westchnął.

— Zdaje mi się — rzekł — że ta umarła zbudzi się je-

szcze do życia... zdaje mi się, że ona z czasem może mnie nawet pokocha... zdaje mi się... i pragnę tego... i boję się...

— Czego się boisz?

— Boję się, żebym, w takim razie... żebym... nie wiem jak to powiedzieć... żebym źle nie skończył... Boję się, żebym nie oszalał, ze szczęścia!

Listy z Galicyi.

XXII.

Dnia 15 Stycznia 1888 r.

Sejm tegoroczny, niezbyt płodny w ważne uchwały, miał kilka dni temu do załatwienia sprawę tak smutną i zarazem wstrętną, że stokroć byłoby lepiej, tak dla niego, jak w ogóle dla kraju, gdybyśmy byli o niej wcale nie słyszeli. W zakładzie Kulparkowskim, położonym pod Lwowem, a przeznaczonym dla obłąkanych, znajdował się, w oddziale I-szej klasy, zaledwie od połowy Grudnia roku ubiegłego, hr. Izidor Dzieduszycki, dawny docent Uniwersytetu Jagiellońskiego, mężczyzna ledwie 48-mio letni, który z powodu rozmaitych nieszczęść familijnych (żona jego już od sześciu lat jest obłąkaną), popadł w melancholię, która skończyła się i u niego zupełnym pomieszczeniem zmysłów. Chociaż rodzina płaciła za niego 3 guldeny dziennie, dyrektor zakładu, dr. Neuser, dał mu takiego dozorcę, który przedtem, za rozmaite sprawy, 9 lat w kryminale przesiedział, a ten pan tak pielęgnował chorego, że, w przystępie złego humoru, złamał mu cztery żebra; skutkiem czego, hr. Dzieduszycki po kilku dniach umarł.

Ponieważ Sejm właśnie obraduje, przeto smutną tę sprawę poruszono natychmiast w Izbie, i przy tej sposobności, z ust posła Hausnera, dowiedzieliśmy się pięknych rzeczy o zakładzie Kulparkowskim. W ciągu niespełna pięciu lat, było tam 57 wypadków podobnego rodzaju, jak z hr. Dz., a mimo to Wydział krajowy, choć nadzór nad szpitalami do niego należy, nie przystąpił do reorganizacji zakładu i więcej dbał o to, by dyrektor sadził kapustę, chodował bydło i zajmował się administracją ekonomiczną, niż żeby trzymał dozorców w rygorze i chorych doglądał.

— Straszne rzeczy muszą się tam dziać — wołali posłowie.

W kraju z tego powodu zapanowała wielka konsternacja i z wszystkich stron dają się słyszeć głosy, że zakład Kulparkowski powinien być radykalnie zreformowany. Pierwszym, który wyleci, będzie dyrektor, dr. Neuser. Okazało się, że luby ten człowiek, przez sześć dni chorego nie kazał opatrzyć, a gdy rodzina pytała go: Panie dyrektorze, czemuś nas o wypadku nie uwiadomił? — odpowiedział lakonicznie — Nie byłem do tego statutami obowiązany. Trafnie też na to poseł Popiel zauważył, że dr. Neuser miasto serca nosi statuty w swojej piersi.

O ile mi się zdaje, wypadek z hr. D. stanie się teraz hasłem do ogólnej reorganizacji wszystkich naszych szpitali. W każdym z nich są wielkie niedogodności, i lekarze nie od dziś o tem mówią. Wielka odpowiedzialność ciąży tu jednak na komisji budżetowej naszego Sejmu, której zawsze szło głównie o to, żeby szpitale jak najmniej kosztowały. Zapomniała jednak, że za tanie pieniądze najczęściej tylko psy mięso jedzą. Oszczędzano na wszystkim, dyrektorom pozwalano zajmować się gospodarstwem; zamiast brać dozorców porządnych i tych dobrze honorować, werbowano starych kryminalistów, a na tem chorzy cierpieli. Czas najwyższy przystąpić do oczyszczenia tej stajni Augiaszowej, bo inaczej ludzie na samą wzmiankę o szpitalach będą u nas konwulsyj dostawali.

Znacie Zakopane? Ktoby nie znał tej uroczej miejscowości, położonej w samym sercu Tatr niebotycznych, w której rok rocznie spędza połowę lata kilka tysięcy przybyszów zamiejscowych, przeważnie warszawiaków, szukających na łonie natury, bądź zdrowia, bądź tylko wypoczynku. Dobra Zakopańskie są rozległe, samych lasów jest w nich kilkadziesiąt tysięcy morgów, lecz o ich intratności król Dawid szeroko pisał. Nie miały też one nigdy szczęścia, i odkąd, jako własność z polskich rąk wyszły, potrzykroć zmieniały właścicieli, z których każdy bankrutował.

Obecnie idą znów na subhastację i pierwszy termin licytacyjny nastąpi za trzy tygodnie. Prasa galicyjska, która z niepojętą w świecie obojętnością na to patrzy, jak ziemia urodzajna, zwłaszcza podolska, przechodzi i na ręce żydowskie, woła przecież tym razem w niebogłosy, aby Zakopane broń Boże! nie stało się własnością cudzoziemca.

Tymczasem o ile mi wiadomo, nikt z naszych nie myśli kupować tej majątności, gdyż do spekulacji my talentu nie mamy, a tam tylko z lasów można ciągnąć jakie takie żyski. W ostatnich czasach pojawił się projekt w jednym z dzienników lwowskich, by nasz Sejm nabył Zakopane dla cesarza, który w roku b. będzie obchodził 40-to letni jubileusz wstąpienia na tron. Ciekawimy co Sejm z tym fantem uczyni, chociaż zdaje mi się, że nad tym projektem przejdzie on do porządku dziennego.

Nasi panowie dziennikarze troszczą się usilnie o Zakopane, jako o skały piękne, co prawda, lecz... nagie, z lasami wyniszczonemi, które „kornik” trze bez miłosierdzia; o ziemi jednak urodzajnej, o tym prawdziwym skarbie narodowym, ani wspominają. A przecież zasługuje ona na szczególniejszą naszą opiekę, zwłaszcza dziś, gdy zniżona stopa procentowa ułatwia nabywanie majątków!..

Jeszcze do niedawna liczono, że ziemia w większym „kompleksie” powinna przynosić 7%. Z powodu, że Tow. Kredytowe Ziemskie w roku ubiegłym wypuściło listy, od których, wraz z umorzeniem płaci się 5%, ziemianie są już kontenci, jeżeli ziemia przynosi im 5 $\frac{1}{2}$, lub 5 procent, a za lat kilka będą się zadawalniali nawet czterema procentami. W miarę jak stopa procentowa spada, rośnie wartość ziemi. Majątek, który dawniej przynosił 7,000 i był dla tego wart sto tysięcy, dziś reprezentuje wartość o połowę większą, a za lat 10 będzie może kosztował 200,000.

Jest to proces całkiem naturalny, jota w jotę taki sam jaki lat temu kilkadziesiąt odbył się w Niemczech, dawniej zaś we Francji. To też ktokolwiek ma pieniądze, powinien kapitały lokować w tej naszej ziemi poczciwej, która wszystkich nakarmi, a nigdy nie zdradza.

Rolarz.

NA POSTERUNKU.

Nowe „chluby” na polu sztuki i literatury. — Swojski Born — czyli pan Adolf Dygasiński i jego „Nowe tajemnice Warszawy”. — Jedną więcej zasługą „znanego pedagoga”. — Rękopis pomnożenia zastępu „pozytywistek”. — Swojskie romanse kryminalne i najnowszy Sennik egipski. — „Nie wypadła” i „burza okłasków”. — kto i co okłaskiwał. — Audytoryum kantorzystów i najwybitniejsi przedstawiciele uczciwości w prasie. — O czem zaponieli wspomnieć. — Pan Prus i jego propaganda wielożenstwa. — Jakim byłby... Mormonem? — Życzenie p. p. wydawcom. — Dlaczego „Kuryerek Codzienny” prześcignął nawet „Prawdę”?...

Pessimistom, utrzymującym że się u nas źle dzieje, odpowiem — przeciwnie: dzieje się bardzo dobrze. Widać to zwłaszcza na polu sztuki i literatury. Alboż nie „pojawiają się” tutaj coraz nowe „znakomite talenta” — realistyczne, zaćmiwające jakąś tam europejską sławę naszych starych ideologów?! Toć wiadomo, że pan Witkiewicz rozbił już w puch i geniusz i zasługi artystyczne Matejki, a inny znów realista, przez namalowanie swej „Wiosny”, w postaci dość brzydkiej — z przeproszeniem — baby, osadzonej na suchym kiju, zgniółł Siemiradzkiego. Tak przynajmniej utrzymuje fachowa, kompetentna (a jakże!) krytyka, z panem Prusem na czele; a więc musi to być prawda!

Prawdą jest niemniej — której, jako ścisły i sumienny kronikarz, pominąć żadną miarą nie mogę, — że i literatura nasza zyskuje coraz nowe i coraz większe — „chluby”. Nie mamy już Kraszewskiego, ale mamy zato swojskiego — Borna. Tamten Born ogłaszał przeróżne „tajemnice”, a między innymi „Tajemnice dworu hiszpańskiego”, ten zaś nasz ogłosił „Nowe tajemnice Warszawy”. Podniosłością i szlachetnością treści, obydwa te arcydzieła literatury nadobnej są tak podobne do siebie, jak dwie krople wody; tylko że gdy tamten Born nie był, o ile mi wiadomo, wychowawcą młodego pokolenia, ten nasz ma tę właśnie nad nim... przewagę; jest bowiem „znanym” i „powszechnie cenionym” pedagogiem!

Tak, „Nowe tajemnice Warszawy” — to najnowsza powieść pana Dygasińskiego, do którego licznych zasług, w celu „wytrzeźwienia” i „ucywilizowania” zacofanego społeczeństwa, przybija jedna więcej. On to bowiem pierwszy przekonał świat, że i my możemy mieć nie gorszych, swojskich — Bornów. I będziemy ich mieli, ani wątpić o tem.

Bądź co bądź, na przeczytaniu nowego dzieła „znanego pedagoga” nie straciłem nic, lecz, przeciwnie, zyskałem; dziś bowiem dopiero widzę, w jak grzesznym byłem błędzie. Gdy czytałem jego, nietylko aż do obrzydzenia naturalistyczne, ale aż do... uspienia nudne: wilcze, psie i chłopskie „nowelle”, nie mogłem pojąć, dlaczego niektórzy przyjaciele-krytycy, a między nimi nawet krytycy-zacho-

wawcy (!) dowodzili, że autor „umie być w swych utworach mistrzem”; dziś przekonałem się, że tak jest istotnie. Najściślejsza bezstronność recenzentów tryska z ich słów pełnych uniesienia. Bo, zaprawdę — zapełnić całe trzy tomy scenami naszpikowanemi najordynarniejszym brudem, cynizmem, podłością, etc., i nie udusić się samemu w atmosferze takiej — to tylko „mistrz”, w znaczeniu nowożytnem — potrafi.

Sądzę też, że jeżeli dotąd pan Dygasiński był pedagogiem „cenionym”, to dziś, przez pewne zwłaszcza postępowe kierowniczkę tak nazwanych „pensyj”, powinienby być cenionym i poszukiwanym ze skwapliwością, co najmniej, zdwojoną... Najnowsze albowiem jego dzieło daje wszelką rękojmię, iż szanowny pedagog potrafi nietylko kształcić „pensyonarki” w gramatyce, ale i w poznawaniu najbardziej tajemniczych „tajemnic syreniego grodu”, z czego znów moralność niezależna, walka o byt, oraz inne, tym podobne, „zasady”, mające, jak wiadomo, oświecić ciemne i strupieszale społeczeństwo polskie, mogą odnieść korzyść niepospolitą. Przedewszystkiem zaś, może się znakomicie zwiększyć zastęp „naszych pozytywistek”, do których jakaś „Zacofana”, drukująca swe „listy” w równie jak ona zacofanej „Roli”, występuje, jak zapewnia nasz p. Adam z Wislicy — z pretensją dziką...!

Przypuszczam wszakże i jeszcze coś innego. Przypuszczam, że zrobiwszy na „Nowych tajemnicach Warszawy” interes nie gorszy (kucharki, lokaje, no... i pewne najwolnomyślniejsze... pozytywistki — a jest ich moc w Warszawie! — lubią niezmiernie takie arcydzieła) od tego, jaki robił nasz znany także p. Breslauer na różnych „Tajemnicach” Bornowskich, pan Dygasiński porzuci pedagogię. Bo czyż nie praktyczniej, rozwinięszy skrzydła do dalszego lotu, w tym najbardziej wdzięcznym i najbardziej popularnym kierunku literackim, dać jeszcze społeczeństwu ciemnemu, jeżeli nie „nowe” jakieś tajemnice warszawskich lupanaryów, to przynajmniej szereg *swojskich* romanseów kryminalnych, lub najnowszy jakiś sennik egipski?

Robię tedy zawczasu niniejszą, bezinteresowną reklamę tym oczekiwany płodom talentu „zasłużonego pedagoga”, przechodząc równocześnie do wzmianki o arcydziele innego znów, choć bardzo zbliżonego, pokroju.

Przedstawiono świeżo komedię dwóch mniej znanych, acz wielce.. liberalnych autorów — i premiera ta, w scenie zwłaszcza wyklinania, besztania etc. konserwatystów w ogóle (dla ścisłości, dodaję, iż obadwaj autorowie zarabiają równie chętnie w pismach „konserwatywnych”, jak i w „postępowych...”) wywołała „burzę okłasków”. Dlaczego i co okłaskiwano? — pytają mnie niektórzy. Mielizbyśmy już tak zmaleć, zmizernieć, że lada wytarty, rozpaczliwie banalny, jak ktoś słusznie powiedział, reporterski frazesza pobudza nas do uniesień nad nim? Mielizbyśmy już tak bardzo znikczemnieć, że ślinę i błoto, jakie wyrzuca liberalizm żydowski, gotowi jesteśmy chwycić i obsmarowywać niemi bodaj siebie samych? Nie — tak źle nie jest jeszcze... Bo i któż „nowej sztuce” bił brawo i kto wrzeszczał radośnie? Nie klaskał — mogą was solennie upewnić — ani jeden polak-chrześcianin. Klaskał żyd — z wyznania, czy z kierunku myśli i ducha, ale żyd jedynie, nikt więcej. A żyd, „ucywilizowany” zwłaszcza, ów „polak mojąszowy” inaczej zachować się tu nie mógł. Nie mógł on nie bić burzliwego brawa, zarówno ze względu na sympatycznych dla siebie autorów, jak i na tendencję ich płodu. Toć wiadomo, iż jeden z tych panów zabawia „Towarzystwo subjecktów mojąszowych”, *alias* kantorzystów, deklamacyą, drugi zaś fabrykuje paszkwile na „antisemitów”, w różnych pismach starozakonnych. Ten ostatni, wyparłszy się Mojąszy, nie uwierzył w Chrystusa, tamten zaś wierzy tylko w żyda i... w jego „assymilacyę”. Jakże więc swoi mieli nie okłaskiwać swoich — ulubieńców? A jakże to audytoryum, złożone przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, z liberalno-bezwyznaniowego żydostwa, mogłoby nie uczynić klaki i samej tak mile tendencyjnej sztuce!? Jak taki żydek-kantorzysta mógłby nie okłaskiwać takich wysoce liberalnych frazesów, jak na przykład o „naturalnem prawie serca” i „starganiu więzów społecznych”, kiedy on właśnie, luby polaczek mojąszowy, żadnych „więzów” nie znosi, a nie znosi ich nadewszystko wtedy, gdy z pieniędzmi pryncypała „wypada” mu czmychnąć gdzieś daleko — daleko?

Jak tu nie klaskać, gdy jeden z bohaterów utworu, *par excellence*.. pozytywista, uwiódłszy młodą dziewczynę i... rozpiwszy się, gromi następnie społeczeństwo w ogóle, a konserwatystów w szczególności, za ich różne zbrodnie!?

Jak nie czynić „burzy okłasków”, gdy autorowie pozytywni

wołają do kolegów-wsteczników: „wyście schanbili nieczciwość, godność prasy — i, chociaż efekt tego okrzyku byłby jeszcze większy, nie dodają jednakże: wy — a nie żaden pan Władysław Kiersz, który opowiadał nam również o „wielkiem zadaniu dziennikarstwa“ (patrz prospekt „Głosu“) i o „uczciwości w prasie“?

Więc oklaskiwało cnotliwe audytorium kantorzystów, gründerów i t. d., liberalną teorię popierania „związków nielegalnych“, oklaskiwali pioruny, miotane na nie cnoty wsteczników i na brak nieczciwości w prasie, a rozpromienieni twórcy — „Nie wypada“ kłaniali się (i tutaj właśnie efekt doszedł do punktu kulminacyjnego) publiczności wdzięcznie, jako jedyni i najwybitniejsi uczciwości tej — przedstawiciele!

Dał im też poklask i nasz dzielny pan Prus, chociaż to co wywołało „formalną burzę uwielbienia“ wśród żydków wolnomysłnych i wszelkich zwolenników „naturalnych praw serca“, dla niego, t. j. pana Prusa, okazało się — niewystarczającym.

Jacyz „skromni w swym radykalizmie“ autorowie „Nie wypada“! — powiada on („Kuryer Codzienny“ Nr. 22) w ostatniej swej „Kronice“. Oni „gniewając się na społeczność za to, że w niej „nie wypada“ praktykować związków nielegalnych, zachęcają ją tylko do większej dla tych związków pobłażliwości; podczas gdy gdzieindziej, w krajach oświeconych (!) jakże już daleko posunięto się naprzód! W Skandynawii — opowiada nam dalej (najzupełniej seryo) „utalentowany kronikarz“ Kuryerka — są literaci którzy jeżdżą z odczytami po kraju, zalecając już masom wielożenstwo!... gdy tymczasem nasi publicyści obskurni wołają dzisiaj jeszcze: „nie wolno lekceważyć prawowitości rodziny“ i t. d.

No, no! — Znajac nikłą i anemiczną postać p. Prusa, nigdy bym go nie posądził o równie gwałtowny i w tym kierunku — radykalizm. Pozory wprowadzie mylą: jeżeli jednak pan Prus miałby być równie znaną komitą Mormonem, jak jest ekonomistą, statystykiem, estetykiem i socjologiem, to niech lepiej wielożenstwu da pokój. Nie wiem zresztą, czy i inni członkowie redakcji „Kuryerka Codziennego“ są niemniej zwolennikami wielożenstwa i czy czasem, podobnie jak owi literaci duńscy, z p. p. Prusem i Czapeliskim na czele, nie myślą także z „odnośniami odczytami“ wyruszyć po naszym zacofanym kraju; w każdym jednak razie, jeżeli panowie właściciele organu, w którym się aż tak postępowe zalecają idee, są nie tylko wydawcami ale i ojcami dorastających, lub dorosłych już córek, — życzę im chętnie powodzenia...

„Prawda“ dowodziła kiedyś, że „miłość jest uczuciem kota w Marcu na dachu“; „Kuryerek Codzienny“ poszedł w tym kierunku nierównie dalej jeszcze — choćby z tego względu, że teorię wielożenstwa wyklada o wiele szerszym a mniej oświeconym rzeszom.

I niechże ktoś śmie twierdzić, że idea „moralności nie zależy — nie rozrasta się u nas!

Kamienny.

Z CAŁEGO ŚWIATA.

Cherchez la femme. — Pani Crispiowa i hrabina Torlonia. — Towarzystwo opieki nad nieszczęśliwymi mężami. — Kto winien? — Co mówią o tem poeci. — Mazgajstwo i energia francuzów. — Krucjaty i pojście honoru. — Dziwy na świecie. — Potopy. — Samobójstwa. — Matka co córki przegrała na loteryi. — Pokojowy komunikat „Norda“. — Odpowiedź prasy wiedeńskiej. — Dzienniki niemieckie. — Obiecanka „Norddajezerki“. — Centraliści wiedeńscy i sejm galicyjski. — Zajście francuzko-włoskie.

Sławne, niby to dumasowskie: *cherchez la femme*, które u nas istniało od wieków pod postacią przysłowia: „Gdzie... ktoś nie może, tam babę posle“, sprawdza się ciągle i sprawdzać będzie zapewne dopóty, dopóki ród ludzki na dwie płcie będzie się dzielił. Tak np. niedawno temu wielkiego hałasu narobiła dymisja hr. Torloniego burmistrza rzymskiego, za to że Papieżowi Leonowi XIII złożył wizytę; widziano w tem niezmiernie ostrą antypapieżką manifestację, dowód zaostrenia się stosunków między Watykanem i Kwirynałem, i Bóg wie nie co jeszcze oprócz tego. Tymczasem teraz wyszło szydło z worka, czyli domacano się w całej tej sprawie kobiety. Była nią tym razem pani Crispiowa, żona obecnego prezesa ministrów, osoba podobno bardzo przy stojna, ale jakoś nie tego te... Niewiadomo, a przynajmniej ja nie domyślam się dla czego, mimo wysokiego dostojenstwa jej małżonka, niechętnie ją przyjmują w porządnym towarzystwach, nie więc dziwnego, że i królowa Małgorzata

wielkie robiła trudności w przyjęciu jej u dworn, a gdy w końcu zmuszona była ustąpić względem politycznym, zastrzegła się wyraźnie, że to królowa konstytucyjna przyjmuje żonę pierwszego ministra — nie więcej! Pani Crispiowa, niewybredna z natury, poprzestała na tem, ale raz przyjęta przez królowę, chciała stanąć na stopie równości z całym światem arystokratycznym i na balu u jednego z ambasadorów kazała się przedstawić między innymi hrabinie Torlonia, z domu Belmonte-Munday. Atoli hrabina burmistrzowa oświadczyła iż sobie tego zaszczytu wcale nie życzy, a gdy poczęto na nią nalegać, bal opuściła. Pałająca zemstą za tę obrazę Crispiowa czekała tylko okazji, i gdy Torlonia złożył wizytę w Watykanie, wymogła na mężu, że pod groźbą podania się do dymisji, zażądał od króla dymisji burmistrza.

Oj! tak, tak niestety! Gołębi niegdys ród niewieści poczyna coraz ostrzejsze dostawać pazurki. Czyż was nie wstydy, piękne panie, że np. w Petersburgu, jak donosi „Swiet“, zawiązuje się towarzystwo opieki nad opuszczonymi przez żony mężami... Gotowe jesteście powiedzieć, że to właściwie my, mężczyźni, wstydzicie się za to powinniśmy... No, tak, zapewne, według dawnych pojęć i stosunków, miałybyście rację, ale widzicie, czasy się zmieniły, a „czas zmazuje winy“ jak mówi poeta. Dawniej my „byliśmy Farysami“ jak mówi drugi poeta, ale dziś pozostał nam jeden tylko heroizm — „heroizm mazgajstwa“, jak o mało nie powiedział poeta trzeci.

Całe szczęście jeszcze w tem, że choć kto jest mazgajem w jednym kierunku, nie idzie za tem żeby nim był we wszystkich innych. Naprzykład francuzi, nad których od jakiegoś czasu niema większych mazgajów w polityce zewnętrznej, a większych niedołęgów w wewnętrznej, jakże za to energicznie idą naprzód w rozwoju pojęć moralnych (naturalnie, na nowy manier)!... Oto parę faktów: Vilette, malarz, znany z wyuzdanych kompozycji, został pociągnięty do odpowiedzialności sądowej za obrazę moralności, ale jednocześnie rząd ozdobił go orderem legii honorowej! W Rouen, do kościoła, w którym kilka tysięcy ludzi słuchało kazania, wpadła kupa motłochu, śpiewając marsyljanekę. Powstał ztąd zamęt i bójka, której policja z trudnością położyła koniec.

Jakież to olbrzymi postęp od owych głupców, co chodzili na jakieś tam krucjaty, albo od owego waryata Franciszka I, który po bitwie pod Pawią, z niewoli u Karola V, z dumą pisał do matki: „Tout est perdu hors l'honneur!“ Dzisiejsi francuzi urządzają krucjaty na własne kościoły, a honor ich dzisiejszy jest antypodem moralności!...

Dziwne, dziwne rzeczy dzieją się na świecie; coś w nim się psuje, coś się w fizycznej i moralnej jego naturze rwie, rozprzęga. Pod włoskiem niebem, pod tem pięknym, lazurowym, słonecznym niebem, w okolicach Medyolanu, malarz Volci marznie na śmierć... Po straszliwych pożarach, mianowicie teatrów, poczyna szaleć drugi równie groźny żywioł — woda. Jakby mszcząc się za to, że człowiek zmusza ją płynąć w kierunku przez niego wskazanym i więzi ją w przewodach podziemnych, rozsadza rury wodociągowe, zalewa teatr w Pesce, w teatrze „Beaumarchais“ w Paryżu sięga łóż pierwszego piętra, w ministerjum handlu w Wiedniu, z zepsutego na trzeciem piętrze wodociągu zalewa wszystkie biura i dostaje się do mieszkania samego ministra Bacquehema, zrzadzając szkody ogromne... W Neutra, na Węgrzech, chłopczek dwunastoletni odbiera sobie życie wystrzałem z rewolweru, z powodu złej cenzury otrzymanej w szkole; w Wiedniu pozbawia się życia również kulą rewolwerową 70 letni starzec, dymisjonowany intendent generalny...

Powiedzcie Państwo sami, czy się to działy takie rzeczy, dopóki świat był porządną, regularną machiną, kręcącą się do koła swej osi i wirującą na około słońca, i niczem więcej?... Musiały się tam widocznie jakieś kółka zużyć, jakieś trybiki połamać, i stare machinisko zaczyna dziwy wyprawiać.

Albo te dwie dziewczęta, siostry, jedna 27-o, druga 19-o letnia, które w Moedlingu pod Wiedniem, związawszy się ze sobą fartuszkami, utopiły się w rzeczulce prawie bezwodnej!... Biedaczki sprzedawały cygara w pewnej dystrybucyi, a miały matkę, która namiętnie grała w loteryę liczbową; gdy jej zabrakło pieniędzy, namówiła córki żeby podbierały kasę dystrybucyjną, obiecując, że odda wszystko jak wygra. Wygrana atoli nie przychodziła, a deficyt urosł do 1,000 reńskich. Dłużej ukrywać go nie było podobna; dziewczęta więc postanowiły odebrać sobie życie, ukradłszy jeszcze na ostatnią stawkę dla matki. Nieszczęśliwa nie przeczuwała zapewne, że wraz z temi ostatnimi kilkoma

guldenami, stawia życie własnych córek... Stawka i tym razem zawiodła.

Eh! rzućmy lepiej zasłonę na te okropności, których szeregu, gdybym go chciał prowadzić dalej, nie skończyłbym do jutra, a odwróćmy wzrok w inną stronę, gdzie widoki pokojowe tak słodko wdzieczą się na widnokręgu politycznym.

Tę erę pokojową zdawał się stanowczo inaugurować komunikat „Norda“, stwierdzający, że nie może żadna zachodzić wątpliwość co do usiłowań Rossyi, zmierzających do utrzymania pokoju, a zarzucający prasie austriackiej, że mimo to, z nieufnością spogląda na sytuację polityczną. Atoli dzienniki niemieckie półurzędowe nie przestają także, jak to mówią, szukać dziury na całym, i wynajdują czarne plamy na rozjaśniającym się horyzoncie politycznym; rej wiodą w tem „Gazeta Kolońska“ i „Kreuzzeitung“, a sekunduje im „Norddeutsche allg. Ztg.“ W jednym z ostatnich numerów twierdzi ona, że wszelkie usiłowania zmierzające do skłonienia Rossyi aby wystąpiła z określonymi propozycjami pozostały dotąd bez skutku, a w końcu dodaje łaskawie: „Jednakże ten, wcale nie pocieszający fakt nie wyklucza nadziei, że przy ciągłej działalności odnośnych czynników, uda się nareszcie znaleźć wyjście z obecnego chaosu“.

Centraliści wiedeńscy nie mogą strawić dowodu wyjątkowej przychylności, jakiego od cesarza Franciszka Józefa doznała Galicya: podczas gdy wszystkie sejmy krajowe zostały zamknięte, sejm galicyjski został tylko odroczone, co znaczy, że będzie się mógł jeszcze raz zebrać w tym roku. W oczach zawistnych centralistów fawor cesarski jest popieraniem jakichś separatystycznych dążeń Galicyi!?

Francuzi o małą rzecz o małą się nie poczubili z Włochami. Konsul francuzki we Florencyi dokonał opieczętowania po zmarłym w tem mieście poddanym francuzkim Husseinie baszy, nie wezwawszy do asystencyi władz włoskich. Włosi nie myśląc wiele, wtargnęli przemocą do konsulatu francuzkiego i zrobili swoje. Rząd francuzki uważając to pogwałcenie nietykalności swego konsulatu za wyrządzone sobie obrazę, zażądał satysfakcyi; — rząd włoski, twierdząc że konsul wszystkiemu winien, dać jej nie chciał. Rzecz poczynała przybierać coraz drażliwszy charakter, — ale włosi ustąpili w końcu i obiecali dać żądane zadosyć uczynienie. P. Flourens znów tryumfuje.

E. Jerzyna.

KRONIKA BIEŻĄCA

Krajowa i Zagraniczna.

Z jubileuszu Papieżkiego. Komitet jubileuszowy w Rzymie ogłosił, iż wszystkie dzieci urodzone 1-go Stycznia r. b. mają nosić imię Ojca Św.; chłopcy przeto otrzymają imię Leonów, dziewczęta zaś Leonij. Na pamiątkę Chrztu S-go, każde nowonarodzone dziecko otrzyma książeczkę kasy oszczędności, ze 100-ma lirami wkładu.

Przyjęcia na Watykanie różnych dygnitarzy, dyplomatów, kardynałów, biskupów, deputacyi, pielgrzymów, trwają nieustannie. Zdumiewać się przychodzi — dodaje do wiadomości tej „Przegląd Katolicki“ — jak Ojciec Ś ty zdoła wystarczyć tej nieustannej fatydze.

Wystawa tkacka, urządzana w Warszawie, w Muzeum przemysłowem, ma być ostatecznie otwartą w d. 29 b. m. Wystawa obejmować będzie trzy główne działy: wielkiej fabrykacyi, wyrobów włóściańskich i rękodzielniczo-tkacki.

Korzystna oferta. Ważną i korzystną ofertę otrzymało warszawskie Towarzystwo rektyfikacyi i wywozu okowity. Mianowicie, dyrektor i główny akcyonaryusz wielkiej dystylarni w Carlham w Szwecyi, p. Smith, zaproponował nabycie dla dystylarni wspomnianej całego wywozu tutejszej Spółki gorzelniczej, z warunkiem skierowania transportu na Gdańsk, zamiast na Hamburg, — po cenie jednak hamburskiej. Spółka, widząc korzyść, choćby w samej różnicy kosztów transportu, przystała na układ tymczasowy, sposobem próby.

Ochotnicze straże ogniowe. Wkrótce już ma być wydana ustawa o strażach ogniowych ochotniczych po wsiach i miasteczkach. Jednocześnie zaś ma być ustanowioną inspekcya rządowa tychże straży.

Z pola szwindlu. W N rze 44 „Roli“ z r. z., pomieściliśmy artykuł o handlu przedmiotami kultu chrześcijańskiego, gdzie głównie zwróciliśmy uwagę na nadużycia — polegające na obchodzeniu prawa przez kupców żydowskich w Częstochowie. Obecnie otrzymu-

jemy bliższe nieco, a ciekawe i charakterystyczne szczegóły, co do jednego z hurtowych składów tamtejszych, istniejącego dotąd jeszcze pod firmą kupca żydowskiego, niejakiego Markusa Höniga, o którym również w artykule wspomnianym uczyniliśmy wzmiankę.

Owóż, ów p. Markus H., z chwilą wydania prawa zabrańającego wyraźnie osobom wyznań niechrześcijańskich zajmować się handlem przedmiotami religijnymi wyznań chrześcijańskich, uznał za właściwe urządzić się tak:

Przedewszystkiem, pan Markus wynalazł sobie niejakiego pana Radwańskiego, chrześcijanina (!), który nie zawahał się posłużyć temuż p. Markusowi do dalszych kombinacyi. Spisanym tedy został „akt sprzedaży“ handlu, następującej, mniej więcej, treści: Hönig ustępuje Radwańskiemu handel, za sumę 200,000, wyraźnie dwa kroć sto tysięcy rubli (!), mającą się spłacać co pół roku, w ratach po 5,000 rubli, lub więcej. Żeby jednak nowo-nabywca handlu nie czynił jakich malwersacyi, a nadto, aby sprzedający był pewnym owych rat — przeto Hönig mianuje siebie kontrolerem owego sprzedanego już „interesu“ — z prawem prowadzenia ksiąg i ciągłego przebywania w sklepie! Wszystko to zrobionem zostało tylko dla... kontroli, lubo niewiadomo, na mocy jakiego znów „kontraktu“ żyd onemu p. Radwańskiemu, nabywcy przedsiębiorstwa za 200,000 rubli, daje u siebie pożywienie, pokiż przy sklepie dla przespania się i 20 rubli miesięcznie na różne wydatki..

Bądź co bądź, wszystko już było w porządku (!) i... szło jak najlepiej, gdy wtem spada na p. Markusa nowy kłopot. Wszystek towar do swojego — ach, prawda! sprzedanego już — sklepu, sprowadza on z Lipska, gdy tymczasem cło od tego rodzaju przedmiotów, jakimi handluje (ach, nie! — już teraz nie handluje, on tylko jest „kontrolerem“ tego „interesu“) podniesionem zostało o 40%!

Trzeba więc założyć fabrykę tu, na miejscu, i namówił też sobie nasz pan Markus już jakiegoś specjalistę z Lipska, i postanowił założyć spółkę k o m a n d y t o w ą, w skład której weszła-by, naturalnie, jego żona, szwagrowie, bracia i t. d., gdy oto zjawia się główny sąk: firma! Szuka tedy p. Hönig znowu jakiegoś figuranta, któryby mu uazwiskiem chrześcijańskim dopomógł do obejścia prawa i zrobienia na szerszą jeszcze skalę ges z e f t u; — śmie szukać, dodajmy, takiego jegomością nawet wśród okolicznego obywatelstwa lecz, jak dotąd, nie znalazł jeszcze nikogo, kto by do ohydy takiej był gotów. Czy znajdzie? — ha, dowiemy się i o tem.

Nowości wydawnicze. Nkładem „Nowej warszawskiej spółki wydawniczej“, wyszedł zbiór nowel i poezyi różnych autorów, między którymi spotykamy nazwiska: p. Adama Pługa, p. Dygasińskiego, pani Śnieżko-Zapolskiej i t. d.

Wyszedł z druku kalendarz p. t. „Płoczanin“. Treść Kalendarza jest w ogóle interesującą, a między innemi, zajmującą jest statystyka wszystkich pism peryodycznych, przychodzących do Płocka i gub. Płockiej. Z tego też spisu dowiadujemy się, że nieszczęsna „Rola“ i w oczach „Płoczanina“ nie jest wcale dobrze widziana. Pozwala on jej bowiem mieć w samym Płocku tylko 1-go, wyraźnie: tylko jednego (!) prenumeratora, a w gub. Płockiej tylko 66 ciu; gdy tymczasem, według naszych kontrol z roku zeszłego, do Płocka wysyłano „Roli“ bez pośrednio (t. j. nie licząc ekspedycyi przez księgarnie) egzemp. 9, — do gub. zaś Płockiej egz. 112. Czy i inne cyfry w tej statystyce interesującej są równie prawdziwemi?

Z prasy: Cicho, spokojnie, bez wrzawy i bez uczyty, „Przegląd Katolicki“ obchodził 25 tą rocznicę swego powstania. Cwierć tedy wieku „Przegląd Katolicki“ broni — nie tak jak większość naszych pism „konserwatywnych“, to jest nie w prospektach tylko i obietnicach noworocznych, ale w rzeczywistości i nie milczeniem, ale słowem dzielnem — zasad naszej wiary — występując stanowczo i otwarcie przeciw wszelkiej korupcyi moralnej, szerzonej zwłaszcza za pośrednictwem żydowsko-bezwyznaniowego dziennikarstwa. Cześć mu za to! Niechże tych zasad świętych broni nam jak najdłużej!

W „Kraju“ petersburskim, a wsławionym już dostatecznie obroną słynnego memoriału żydowskiego i robotą w i n t e r o s i e d e w a s t a c y j n y m, prowadzoną do współpracy z „wielkim samotnikiem“ z nad Sekwany; — stał się znowu fakt brzydki, i to bardzo brzydki.

W N rze 49, „Kraj“ pomieścił odezwę w kwestyi wydania przez obywateli podolskich zbiorowej książki p. t. „Z własnej niwy“. Odezwą była podpisana przez p. Kazimierza Pułaskiego, a redakcyja „Kraju“, opatrując ją komentarzem, wspomniała, że zwykłą sobie s k r o m n o ś c i ą, że ona to właśnie, przez pomieszczenie listu „Starego szlachcica“ (czyli przez odsądzenie całej szlachty podolskiej od czci i wiary!) dała impuls do wywołania „tyle sympatycznych objawów“ i t. d. I wszystko byłoby jak najpiękniej, przekonanie czytelników „Kraju“ o wielkim jego „wpływie“ byłoby jak najbardziej stanowcze, gdyby nie to, że, jak się okazało następnie, pan Pułaski żadnej odezwę do

„Kraju“ nie posyłał i... żadnej nie podpisywał. Dowiedzieliśmy się zaś o tem od samego p. Pułaskiego, a raczej z jego listu, zamieszczonego w N-rze 11-tym „Wieku“. Pan Pułaski, ujrzawszy ze zdumieniem swój podpis w „Kraju“, był na razie pewnym, że to jakiś o bujnej fantazyi reporter wprowadził w błąd redakcyę. Wysłał więc natychmiast p. Pułaski „zaprzeczenie“ do Petersburga, lecz na pomieszczenie tej prawdy już odezwy swojej czekał napróżno tydzień jeden i drugi. Natomiast otrzymał tylko pan P. od redaktora i wydawcy „Kraju“ p. Piltza Erazma dwukrotne objaśnienie prywatne, z którego się okazało, że sama „redakcyja nadała reporterskiej wiadomości formę odezwy, sama nazwisko podpisała, i to wszystko ogłosiła drukiem.“

Ktoś już nawet z postępowych kolegów „Kraju“ zauważył, iż pan Pułaski musi być człowiekiem bardzo wyrozumiałym, jeżeli „mając dowody sfałszowania swego podpisu, przestał je tylko na ogłoszeniu faktu“, ale mniejsza już o to.

Najciekawszą w całej tej sprawie jest ta okoliczność, że „Kraj“, pomieszczając w N-rze ostatnim (2 gim z r. b.) swoje jakoby „objaśnienie“, zamiast przeprosić najsolennie p. Pułaskiego za popełnione nadużycie, gromi go jeszcze w sposób pełen arogancyi, a postępek swój, który przez całą, uczciwą prasę polską winienby być napiętnowanym tak, jak na to zasługuje, nazywa „pewną“ tylko „samowolnością“ i „drobną zresztą winą“.

Doprawdy, zmyśleć czyjąś odezwę, podpisać sobie pod nią cudze nazwisko, nie chcieć naprawić podobnej swawoli jawnie — i jeszcze upominającego się o to właściciela nazwiska zgromić publicznie — na to trzeba być prawdziwym dziećciem „nowego, pozytywnego ducha czasu“ i tej dziwnej epoki, w której największe właśnie moralne i umysłowe niernoty wdzierają się *par force* na stanowiska „mężów publicznych“!

Z teatru i muzyki. Oklaskiwana hucznie na pierwszym przedstawieniu, przez licznie zwłaszcza zebranych kantorzystów — komedya p. t. „Nie wypada“, nie zrobiła — furory. Na trzecim przedstawieniu tego arcydzieła żydowskiego liberalizmu, były już prawie — pustki.

Na wystawie muzycznej, urządzonej z niewyczerpaną energią i zabięgliwością przez hr. Gustawa Platę, obok wielu niezmiernie ciekawych i interesujących, a zadeklarowanych już przedmiotów, znajdująca się będą instrumenta muzyczne z klasztoru Jasnogórskiego. Otwarcie wystawy ma nastąpić stanowczo w dniu 19 Lutego r. b.

Zmarli: Ś. p. Ks. Teofil Jakubowski, kanonik honorowy sandomierski, proboszcz błotnicki, kapłan wielkiej zacności i pracowitości, cieszący się szacunkiem i uznaniem ogólnem — zm. w Błotnicy w pow. Radomskim, w 77 roku życia.

Ś. p. Witalis Smochowski, weteran sceny polskiej, b. dyrektor teatru lwowskiego, właściciel dóbr ziemskich — zmarł we Lwowie.

SPRAWOZDANIE HANDLOWE.

26 Stycznia 1887 r.

Nie — i nie nowego! Na wszystkich rynkach zagranicznych, tak amerykańskich jak i europejskich, panuje usposobienie jednokowe t. j. niezbyt pewne, przy cenach niezmiennych. Tylko specjalne „organa handlowe“ trąbią o „zwiększających się“ jakoby „ciągle“ „zapasach amerykańskich“ i — po za tem — nie więcej!

Natomiast na targach warszawskich, w dniach ostatnich ujawniła się jakaś bardziej ożywiona chęć do zawierania transakcyj, a ogólna dążność była najwyraźniej zwyżkową.

Na placu Witkowskiego (w dniu 24 i 25 b. m.) płacono już pszenicę wyborową 6 60—6 80, średnią 6 35—6 50. Żyto wyborowe 3 75—3 85, średnie 3 60—3 70. Owsa wyborowe, i w tygodniu ubiegłym, nie było prawie wcale. Za średni i w gatunkach poślednich płacono ceny z tygodnia poprzedniego, a nawet nieco wyższe. W ogóle płacono od 2 10 do 2 50.

Na stacyi Praga pszenicę wyborową płacono 105—108, średnią 101—103, ordynaryjną 95—98 kop. za pud. Żyto wyborowe 67—69, średnie 53—57. Owies wyborowy 66—72, średni 62—65, ordynaryjny 55—59 kop. za pud.

W handlu okowitą przepowiadają rychłe podniesienie się cen. Tymczasem tak w Hamburgu jak i na naszym rynku warszawskim ceny w porównaniu z zeszłotygodniowymi, pozostają prawie bez zmiany.

Na targu pragskim, jak i na rynkach żywnościowych, nie zaszły również, w ciągu tygodnia sprawozdawczego, żadne zmiany ważniejsze.

Odpowiedzi Redakcyi.

Sz. ks. L. Wojc. w Kom. — Za życzliwe słowa listu najszersze ślony dzięki.

P. Tad. Sakowicz w Babezewie. — Redakcyja „Wędrowca“ objaśniła nas, iż pismo swoje odstępuje na warunkach podanych w „Gazecie Informacyjnej“, ale tylko prenumeratorom miejscowym t. j. warszawskim.

Panu J. G. — A z kim mamy przyjemność? Manipulacya o jakiej pan wspomina, jest nam znana dokładnie; nie chroni ona jednak, czego zresztą mamy żywe przykłady, wysyłającego towar „za nachudną“ od strat — ilekroć zamawiający ten towar, jest człowiekiem złej woli.

Mazurowi. — Otrzymałmy, — dziękujemy serdecznie.

P. St. Czer. w Częstochowie. — Dwa egz. „Roli“ przesyłane są p. Szatkowskiemu. Z korespondencyi skorzystać nie możemy; za życzliwość dziękujemy uprzejmie.

P. Polkowski w Hardziejewce. — Kalendarz wysłany; przypada nam jeszcze od Sz. Pana za przesyłkę kop. 20.

Panu Wład. B. z Warsz. — O środkach konkurencyi jakich chwyciła się ta „poważna firma“ (!) pisaliśmy już, nazywając podobnie jak to sz. pan czyni, rzeczy po imieniu, w N-rze 21 „Roli“ z r. z. Skorzystanie przeto z listu pańskiego byłoby tylko powtórzeniem faktów już znanych; a ta, istotnie „obrzydliva walka kupców“, niema zów takiego znaczenia, iżby o niej wypadało się rozpisywać, — jakkolwiek, z drugiej strony, ma sz. pan zupełną słusność, twierdząc — iż „działalność publicznych firm zwłaszcza wydawniczo-księgarskich, powinnaby zostawać pod jak najściślejszą kontrolą prasy. Dzieło Drumonta osobno w przekładzie polskim, nie wyszło; w „Roli“ pomieszczyliśmy je w całości bez „opuszczań“ i „skróceń“.

Panu Chleb. z Warsz. — W tej formie niepodobna.

REKLAMY.

— Zwracamy uwagę czytelników na świadectwo wydane przez Pracownię Chemiczną Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie za № 1179, firmie „W. Kotecki“ (Leszno Nr. 14 i Bednarska Nr. 12) którego tekst dosłowny poniżej zamieszczamy:

Zawiadujący Pracownią Chemiczną Muzeum Przemysłu i Rolnictwa.

Do Wielmożnego Pana W. Koteckiego — w miejscu.

Niniejszym zaświadczam, że przesłane mi w dniu 26 Października r. b., dwa okazy win stołowych, zaopatrzonych cechami firmy, W. Kotecki — Warszawa, i napisami „Węgierskie“ i „Krymskie“, poddane rozbiorowi chemicznemu, celem udeterminowania stopnia ich czystości, okazały się ze względu na jakość i ilość ważniejszych składników chemicznych, winami naturalnymi, normalnymi, to jest wolnymi od dodatków mających na celu sztuczne podniesienie ich smaku lub trwałości.

Warszawa, d. 15 Listopada 1887 r., Krakowskie-Przedmieście, 66. — Nr. 1179.

(podp.) N. Milicer,
Magister Nauk Przyrodzonych.

Biuro Komisowo-Nauczycielskie A. Lewińskiego,

Zielna Nr. 42 róg Próżnej, z osobnym oddziałem **Stręczeń** mając do lokacyi: Nauczycieli, Nauczycielki, Bony różnego wykształcenia i narodowości, Rządców z kaucjami i bez, Ekonomów, Pisarzy, Gorzelanych, Mechaników, Techników, Ogrodników, Gospodynie, Panny służące i t. d., poleca swoje pożyteczne usługi, oparte na dobrem zrozumieniu własnego interesu, na dążności wyrobienia renomy firmy niesieniem usług jakich J. W. i W. W. Chlebowawcy spodziewać się mają prawo od Instytucyi rządzącej się zasadami. (26—19)

OGŁOSZENIA.

PACHT Z 50 KRÓW

do wypuszczenia od Śgo Jana r. b. Pacht ten wypuszczonym być może tylko chrześcianinowi na bardzo dogodnych warunkach Wiadomość u właściciela, w Domaszowie przez Sobolew st. kolei Nadwiślańskiej. (6—2)

Główny Skład Dywanów

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu),

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki Koldry, Dery i t. p. JUTY i WEŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercie“. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych 52-4
i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży
I. Jodłowskiego
Białańska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137
(9-ty dom od ogrodu).
poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i no-
żowniczych—oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacye po cenach
najumiarkowańszych.

52--29
Fabryka i Magazyn
Józefa **BENVIERA**
JUBILERA
TEATRÓW RZĄDOWYCH
Sprzedaje
Wyroby Złote, Srebrne
i Brylantowe
Najtaniej
Z czem się poleca.
Marszałkowska 139
8-my dom
od Ogrodu Saskiego.

KRÓLOWIE POLSCY

dla młodzieży, poczet z 43-ch portretów litogr. podług rysunków **T. Ma-
leszewskiego**, z tekstem, do nabycia we wszystkich księgarniach
i w Redakcyi „Roli“, w ozdobnej oprawie lub na wielkim arkuszu, cały
poczet rs. 2 kop. 50. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Polski Kantor Bankierski
RADZISZEWSKI i S-ka (52-4)
WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

Dep. Przem. i Hadn., St.-Petersb., N. 1360.
Wiedeń Nr. 4932—Budapeszt Nr. 1528.

Broszurka bezpłatnie.
Gwarancya 15-letnia.

„**Exsic** **cator**“

Osusza wilgoć w starych domach, zabezpiecza **NOWE** od
tejże, niszczy **Grzybek**, zabezpiecza od **GNICIA** wszystko
co z drzewa. **Dezynfektuje**. Zastępuje **OLEJNĄ FARBĘ**
we wszelkich kolorach, będąc tańszym od tejże o 50%.

52-8 Inżynier Ritter, *Królewska 39.*

Nowo otworzona Fabryka Polska TKANIN METALOWYCH

oraz
wszelkich Wyrobów Drucianych (52 5)
E. CHRZANOWSKIEGO,
W WARSZAWIE,
Białańska 16 (12) dom p. Zawiszy.

Poleca: Siatki ochronne przeciw muchom i wszelkim owadom, przy otwarciu okien, Siatki
druciane dla fabryk papieru, cukrowni, krochmalni, cykoryi, cementu, młynów, suszarni,
dla browarów, gorzelni. Wszystkie przybory pszczelnicze. Sita do koniczyny białej i czer-
wonej, specjalnie przemyślnie ulepszone, które oczyszczają bąbkę, kaniankę i szczawik; za
sita te, mimo konkurencyi, ja jeden zostałem zaszczycony nagrodą. Cena trzech sit do ko-
niczyny czerwonej rs. 3 kop. 70, a trzech sit do białej rs. 3 kop. 30. Sita do czyszczenia
wszystkich zbóż z groszku, kakału i kostrewy. Liny do transmisji. Materace druciane,
elastyczne do łódek, arfy do ziemi i zwiru, cylindry do czyszczenia zboża i rafy, oraz wszel-
kie wyroby galanteryjne, manekiny do upinania sukied, tak druciane jak i paryskie od rs.
4, które się rozsuwają podług wzrostu i tuszy. Pudła francuzkie do noszenia sukien.
Fabryka przyjmuje ogrodzenia ogrodów i kłębów oraz płotów drucianych, po cenach
nader niskich

SKŁAD ZEGARKÓW
S. POPIELA, (52-7)
Ulica Elektoralna Nr. 5.

Czytelnie Nowości JANA JELEŃSKIEGO.

Jedna **NOWY ŚWIAT** Nr. 4.
Druga **BIELAŃSKA** Nr. 9 (*hotel Paryzki*).

Obejmują przeszło już **18,000** tomów dzieł wyborowych
najświeższych, belletrystycznych i naukowych, w językach:
polskim, rosyjskim, francuzkim, niemieckim i angielskim.

Każda **nowość** ukazująca się w handlu księgarskim,
przybywa **równocześnie** do Czytelni w paru lub kilku egzem-
plarzach. Pisma peryodyczne udzielają się do czytania **bez
osobnej dopłaty**.

Osoby zamieszkałe na prowincyl mogą abonować książ-
ki lecz tylko przez okazję, za wniesieniem kwartalnej (rs. 2
lub półrocznej (rs. 4), opłaty i złożeniem odpowiednie
kaucyi. Katalogi drukowane udzielają się abonentom **bez-
płatnie**.

Jedyna specjalna Fabryka Ozdób Kościelnych
Karola Szonert (52-11)
w Warszawie, — Leszno Nr. 62.

Koronki, Żaboty, Wstążki, Garniowania do Sukien, Woalki, Rękawiczki jedwabne, Kołnierzyki i Mankie-
ty damskie i dziecinne, Chustki płócienne batystowe, koronkowe, do nosa. Pończochy damskie i dziecinne, Ka-
masze wełniane, Halki kortowe i trykotowe, — poleca w wielkim wyborze po cenach niskich!!!

MAGAZYN BIELIZNY MEZKIEJ **A. KIERST i S-ka**

5. Białańska 5, — vis-a-vis Daniłowiczowskiej.

Wszelkie zamówienia z prowincyi skuteczniamy odwrotną pocztą, franco. Ceny niskie. 26—20

Najwyżej Zatwierdzone Towarzystwo Wzajemnego Ubezpieczenia na Życie

„NEW-YORK“

ZAŁOŻONE W 1845 ROKU.

Warunki Ubezpieczenia i Kontroli zostały zatwierdzone przez P. Ministra Spraw Wewnętrznych 21 Października 1887 r.
Kapitał gwarancyjny, najzupełniej zrealizowany, wynosił w dniu 1-go Stycznia 1887 r. 161,100,224 rubli. Towarzystwo złożyło do Banku
Państwa 500,000 rubli tytułem kaucyi, (w listach pożyczki wewnętrznej z roku 1837 wartości nominalnej 600,000 rubli).
Osobny, prawem przepisany, fundusz rezerwowy składa się do Banku Państwa, jako gwarancya Ubezpieczeń w Cesarstwie i Królestwie
zawartych.

Czynności Towarzystwa i unormowanie funduszu rezerwowego, podlegają czynnej kontroli Rządu Roskiego.
Wszelkich objaśnień udziela Biuro Towarzystwa w Warszawie, Plac Saski Nr. 5.

DYREKTOR
na Rosyę Południową i Zachodnią
L. Werner.

oraz na Królestwo Polskie:

Bankierzy w Warszawie.
Bank Handlowy w Warszawie.
A. Rawicz & Comp.

Specjalna Fabryka i Magazyn
BIELIZNY

L. GALKOWSKIEGO

w Warszawie,
Marszałkowska Nr. 133,
róg Ś-to Krzyckiej.

Poleca — w wielkim wyborze :

Koszule męskie, odznaczające się najlepszym krojem i wykończeniem, Kotnierzyki i Mankiety w najnowszych fasonach. Kalesony, Skarpety i Szelki, Wielki wybór Krawatów, Szpilek i Spinek najmodniejszych. Chustki na szyję jedwabne i półjedwabne, oraz Chustki do nosa, zawsze w wielkim wyborze. Wyroby trykotowe wełniane i bawełniane. Kaftaniki siatkowe higieniczne, oraz wyroby wełniane D-ra Jaegera. Wszelkie zamówienia wykończają się starannie i spieszenie, po cenach stałych, możliwie niskich, p. p. handlującym ustępuje się rabat.

„Najlepszy krój Koszul męskich.“

52—20

Fabryka wyrobów Platerowanych i Bronzowych

egzystująca od roku 1856

BRACI HENNEBERG

poleca wielki wybór tak przedmiotów PLATEROWANYCH, jak i BRONZOWYCH, złożonych i ciemnych. — Zaznaczyć przytem winniśmy, iż wobec zagranicznych bronzów, nasze wszelką konkurencyę wytrzymują, są bowiem o wiele solidniej wykończone, a ceny stosunkowo niższe. — Upraszając o łaskawe zwrócenie na to uwagi, polecamy

Magazyny : Plac Teatralny Nr. 11. (26—12)
Róg Trebackiej i Krakowskiego-Przedmieścia

CENY MOŻLIWIE NIZKIE.
Cenniki na żądanie wysyłają się franco.

FELIKS ZARĘBA



w Warszawie,
ulica Miodowa Nr. 8.

Posiada znaczny zapas Obuwia Damskiego, Męskiego i Dziecinnego.

Przyjmuje wszelkie obstalunki. (6—5)

Ceny przystępne, za dobroć poręcza.

Wystawa przemysłowo-roln. w r. 1885.
DYPLOM UZNANIA.

ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU.

MAGAZYN MEBLI

ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie, Tłomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowania pokojów jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszej potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapicerskie i dekoracyjne, podług najświeższych żurnali (13-4)

Świeżo opuściła prasę i jest do nabycia we wszystkich księgarniach, ważnej i ciekawej treści broszura

p. t.

ŻYDZI POLSCY
W ŚWIETLE PRAWDY

przez

Konstantego Wzdulskiego.

Cena kop 40. (6—6)

Skład główny w Redakcyi „Roli“, Nowy-Świat Nr. 4.

Krawiec

(4—4)

M. CHMURCZYNSKI

w WARSZAWIE

róg Nowogrodzkiej i Marszałkowskiej Nr. 94 nowy.
na dole w podwórzu po prawej stronie.

Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakresie krawiectwa wchodzące, oraz wykonywa wszelkie odnówki jesienne i zimowe palta, sakpalta, surduty, tużurki, żakiety, marynarki, spodnie, kamizelki i t. p., i takowe oczyszcza z plam i brudu, obszywa taśmą, podszywa podszewki, nicuje, reperuje, zmienia aksamitne kołnierze, guziki i odprasowywa, jak najakuratniej, po cenach bardzo niskich.

FABRYKA I MAGAZYN

WYROBÓW JUBILERSKICH
W. MOCZYDŁOWSKIEGO

przy ulicy Nowo-Senatorskiej pod Nr. 3, obok Hotelu Rzymkiego, (12—7)

poleca :

znaczny wybór gotowej biżuterii z własnej fabryki, co daje łatwość do zmiany starej biżuterii na nową, a jako z pierwszej ręki znacznie taniej. Obstalunki i reperacje po cenach niskich, najakuratniej się wykończają.

FABRYKA I MAGAZYN

WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY
KONNEJ JAZDY I POŁOWANIA

T. L. BREYMEYER, — Warszawa
Królewska Nr. 1, róg Krakows.-Przedm.

poleca
Kufry — Walizy — Torby — Sakwojaże
Płaszcz gumowe — Buty filcowe
Kurtki — Płaszcz i Spodnie skórzane
Torby myśliwskie — Futerały na broń
Portmonetki — Pugilaresy — Portfelgary — Woreczki i t. p.
Wszelkie reperacje uskuteczniają się szybko i dobrze.

52—24

FABRYKA I SKŁAD

Narzędzi Chirurgicznych i ostrych,
stalowych, oraz Bandaży.

F. Balukiewicza

w WARSZAWIE

Bieleńska Nr. 9, Hotel Paryżki.

26—18

SKŁAD MEBLI

13-8

MAJSTRÓW STOLARSKICH

róg Marszałkowskiej i Zielonego Placu,
Nr. 60 (150 nowy), 1-sze piętro.

Pragnę dostarczyć JJWW. i WW. Panom mebli dobrych, produkowanych we własnych warsztatach, poleca takowe od najskromniejszych do wykwintnych, przyjmuje również zamówienia na roboty tapicersko-dekoracyjne, gwarantując za dobroć towaru i roboty.

Treść numeru: Pod kontrolę!—Dyalogi wiejskie XI.—Francya żydziła (d. c.) — Zastępcza (szkie do powiastki) przez Klemensa Junoszę (dok.).—Listy z Galicji.—Na posterunku, feljeton Kamiennego.—Z całego świata.—Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna.—Sprawozdanie handlowe.—Odpowiedzi redakcyi.—Ogłoszenia.—W odcinku: „Narwańcy“, powieść przez T. Jeske-Choińskiego (d. c.).

Redaktor i Wydawca Jan Jeleński. Дозволено Цензурою.—Варшава 14 Января 1887 г. (Drukiem „WIEKU“ Nowy-Świat N-r. 61)